EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 lipca 1937 r. Rok IV, Nr. 13 (92)

Treść numeru:

SOBIEPAN W INFULE BISKUPIEJ

Pismo nasze jest organem, który, zabierając głos w odstępach dwutygodniowych, nie potrzebuje śpieszyć za gwarem jednodniowych sensacyj i, dzięki temu, korzysta z dobrodziejstwa perspektywy zarówno w wyborze, jak i oświetleniu poruszanych spraw. To dobrodziejstwo, będące prerogatywą, jest jednakże i zobowiązaniem. Zobowiązuje ono do ujmowania każdego zjawiska w rozleglejszej płaszczyźnie, w szerszym i głębszym splocie wzajemnych uzależnień. W miarę sił czyniliśmy zadość tej powinności w swej pracy dotychczasowej. Nigdy jednak, na żadnym tej pracy etapie, nie stanęliśmy tak bezpośrednio, tak oko w oko, z faktem, który, aby być należycie zrozumianym i ocenionym, musi być stawiony w świetle pewnej określonej perspektywy, musi być pokazany, jako ogniwo, w długim łańcuchu przyczyn i skutków.

Czytelnicy nasi domyślają się, o jakim mówimy fakcie. Mówimy o zatargu biskupa krakowskiego, ks. Sapiehy, z państwem polskim, o zatargu, którego doniosłość polityczna wyraziła się już w tym, że powodując podanie się do dymisji szefa rządu, omal nie doprowadził do przesilenia gabinetowego w chwili, z pewnością najmniej pożądanej dla systemu panującego.

Wobec tak demonstracyjnie politycznego kroku, na jaki zdobył się wysoki dostojnik kościoła, nie uważamy za dopuszczalne wyłgiwanie się sztubackimi kawałami, w rodzaju udawanej naiwności, do jakiej uciekła się część publicystyki subsydiowanej, wołając bezradnie: „Niepojęte stanowisko ks. metropolity Sapiehy". Niepojęte? Jakto niepojęte? Przecież to właśnie wasz obowiązek publicystyczny, wasze zadanie służbowe, polega na tym, aby coś wreszcie pojąć, aby coś jednak zobaczyć, coś zrozumieć! Ba! aby rzeczy oraz ich logikę tłumaczyć innym. Wasz to przecie obowiązek zawodowy wymaga opinię waszych czytelników informować i kształcić w ten sposób, aby z dnia na dzień nie stawała ona wobec zarządzeń potężnej w państwie instytucji, jak przysłowiowe cielę, spoglądające na malowane wrota biskupie.

Czyż jaskrawe wystąpienie krakowskiego infułata było naprawdę zjawiskiem w Polsce tak dalece wyjątkowym, tak pozbawionym tła i precedensów, że aż „niepojętym" i nie dającym się pojąć?

Ludzie o rozwiniętym zmyśle społeczno-państwowym, a przede wszystkim owi prawdziwi bo-

jownicy i żołnierze niepodległości, którzy nie mają nic wspólnego z solenizantami koniunktury, jak trutnie, obsiadającymi placówki publiczne, oddawna mają w tej sprawie sąd najzupełniej skrystalizowany. Czy dziś wolno powoływać się jeszcze na słowa takich ludzi, jak Tadeusz Hołówko? Jeśli tak, to przypomnijmy, co ten najżarliwszy z Piłsudczyków pisał w Wilnie w lipcu r. 1927, a więc akurat dziesięć lat temu, w liście skierowanym do bliskiej sobie osoby, a ogłoszonym poraz pierwszy w książce niżej podpisanego p. n. „W walce i burzy".

„Pani wie najlepiej, jak kocham Komendanta — wyznawał Hołówko — a jednak strach mnie ogarnia na myśl, że **za żadnych rządów w Polsce odrodzonej kler rzymski nie doszedł do takiego znaczenia,** jak za jego rządów. Było coś oburzającego do głębi w tej aneksji, na którą rząd pozwolił klerowi rzymskiemu w czasie sprowadzania zwłok Słowackiego, poety tak płomiennie nienawidzącego formalistycznej, bezdusznej wspaniałości Rzymu".

W tym samym liście opisuje Hołówko gromką w Wilnie urzędową „koronację cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej". Koronację tę odcelebrowano z niebywałym nakładem przepychu i świetności zewnętrznej, w splendorze pozłotowin, wieńców i świecideł, przy hojnym udziale dostojników państwa i kościoła, przy bardzo skąpym, natomiast, uczestnictwie ubogiego ludu. Opis, którym uroczystość tę upamiętnił w swoim liście Hołówko, równocześnie wtedy przebywający w Wilnie, to — akt niezmiernie bystrej analizy, sięgającej w głąb owego sojuszu, jaki — poza plecami ludu — jął już wtenczas wywiązywać się między sferami rządowymi a hierarchią kościoła: sojuszu, który w gruncie rzeczy oddawał w ręce kościoła coraz nowe atuty.

„Jestem sam w domu — pisze Hołówko — bo wszyscy wyruszyli na uroczystość koronacji. Wolałem zostać sam w domu i pisać... Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej był cudowny dzięki temu, że był taki prosty i cichy, że naprawdę szukała w nim biedna, gnębiona polskość ucieczki i opieki... Na wszystko targnęła się zbójecka ręka Moskali, nie miała jednak odwagi tknąć tego obrazu, odebrać go ludowi polskiemu. Obraz ten był ostatnim szańcem obronnym polskości Wilna; dlatego też był tak kochany i czczony przez wszystkich. **Lecz ta Polska niepodległa zachowała dziwny pociąg do strojenia się i nadal w pióra papuzie: wszystko chce utopić w blichtrze i pompie.** Więc i ten obraz cudowny, taki prosty i ludowy, postanowiono ukoronować, otoczyć jakimiś zewnętrznymi oznakami honoru, dostojeństwa i majestatu. Włóczą tedy od wczoraj ten biedny obraz po Wilnie, stawiają przed nim straże honorowe, jak gdyby nie wystarczało to, że klękały przed nim serca pokoleń... Słowem, robią wszystko, aby bolesną matkę Chrystusa zamienić w sztuczną księżniczkę... I rzecz dziwna! Lud instynktownie odczuł, że tu dzieje się coś fałszywego; że odbierają mu to, co tak serdecznie ukochał właśnie za ubóstwo i prostotę. Lud czuje gorycz także i z tego powodu, że dostęp na uroczystość zastrzeżono tylko dla możnych tego świata ,że na plac katedralny, kędy odbywa się obrzęd koronacji, można dostać się tylko za biletami... **Czy nie dlatego tak mało przybyło pielgrzymek?...**"

Niedarmo przytoczyliśmy niemal w pełnym brzmieniu ten list tak piekący a zarazem tak pełen wnikliwego światła. Przypominając go, dalibóg, nie powodowaliśmy się zdrożną pasją „antykwariuszów przeszłości". Kto chce podejść od właściwej strony do aktualnego zamachu księcia-infułata, ten nie znajdzie lepszej drogi, niż ta — postawiona już przed 10 laty przez Hołówkę — diagnoza prądu, który jął brać górę a w końcu i zupełnie zapanował w naszej polityce wewnętrznej. **Wyzywający akt infułata krakowskiego — to tylko naturalny owoc — i to jeden z mnóstwa — tego właśnie kursu, który wtenczas, 10 lat temu, stawiał pierwsze kroki.**

Głęboką miał słuszność Hołówko, gdy, patrząc na urzędową i formalistyczną ceremonię wileńską, z goryczą, więcej! — ze strachem myślał o niebezpieczeństwie wzrastającej przewagi kleru rzymskiego w Polsce, a także o tym, że przewaga ta za żadnych rządów uprzednich nie sięgała tak wysoko, jak właśnie za rządów pomajowych, które, zdawało się, stanęły mocną stopą na gruncie polskiej racji stanu, ze szczególną pieczą ochranianej od postronnych wpływów. Jakże to? — buntowała się w piersi męskiej duma państwowca: — ten rząd, który obalił „sejmowładztwo", który tyle prawił o swej niezłomnej woli, tak górnie nosi sztandar swej niezależności, — ten rząd jednocześnie schyla się pod pastorał biskupów? I schyla się o wiele głębiej, niż dawne okrzyczane rządy partyjne? Więc „monolit" władzy państwowej w Polsce buduje się po to, aby na nim rozpostarły się fiolety i purpury kościoła rzymskiego?

Tak, jak Tadeusz Hołówko, z pewnością myślało podówczas wielu, wielu najszczerszych demokratów i patriotów, którzy z zapałem witali Przewrót Majowy, łącząc z nim w swych nadziejach nie odmianę personelu administracyjnego, lecz głęboką odnowę społecznej treści państwa. Hołówko wszakże był tym, który nie poprzestał jedynie na stwierdzeniu zwrotu politycznego, jaki go tak żywo zaniepokoił. On wszedł także w rozbiór czynników i piarwiastków składowych tego zwrotu, który, jak się okazało, bynajmniej nie był efemerydą.

Od czasu koronacji obrazu Ostrobramskiego Polska oficjalna przeżyła i przeżywa nadal nie kończącą się serię obrzędów podobnych, z tego samego wypływających źródła przesłanek polityczno-kościelnych. Można powiedzieć, że uroczystości te stały się najczęstszą — jeśli nie jedyną — formą, w jakiej władze państwowe w asyście władz kleru ukazywały się ludowi. Rzecby można, patrząc na te obrzędy koronacyjne, że niwy Rzplitej zmieniły się w jedną łąkę mistyczną, zakwitającą uczuciami monarchizmu. Jakaż idea przyświeca tym, tak szeroko wyświęcanym, obchodom dworsko-kościelnym? Czy w sercu wierzącego człowieka Istota nadprzyrodzona, aby zajaśnieć blaskiem, wymaga tych błyszczących emblematów, które wyrażają się w berle królewskim lub koronie cesarskiej? Koronę nosił Ludwik Święty, wybraniec boży, ale nosiła ją także wszetecznica Katarzyna, nosił ją okrutny Tyberiusz, pod którym Syn Człowieczy był ukrzyżowany: cóż to za odznaka czci dla Istoty, którą wywyższamy ponad ambicję i próżności ziemskie? Chrystus, jeśli nosił koronę, to tę, którą dźwiga lud wyzyskiwany i uciśniony: cierniową. Królewskie go nie kusiły, jak nie kusiły go wogóle dobra, posiadane przy udziale administracji i policji państwowej. Jakiż więc jest sens obdarzania Chrystusa lub Jego Ro-

dziny insygniami ziemskiej, materialnej i materialistycznie pojmowanej supremacji? A zwłaszcza jaki sens tak szczodrego tymi insygniami szafowania?

Wróćmy jeszcze do chwili z przed lat dziesięciu: do owej pierwszej koronacji, którą opisało wzburzone pióro szczerego żołnierza-piłsudczyka. Tak, jeśli obraz „Tej, co w Ostrej świeci Bramie", był przez ludzi prostych i ubogich kochany tak mocno, że stał się potęgą, że nie śmiała go tknąć ręka zaborcy, to był kochany za swą prostotę, za swe braterstwo i przymierze z dolą cierpiącego człowieka. Tak, obraz ten był naprawdę szańcem polskości.

Ale czy dla wszystkich? W każdym razie nie dla wszystkich Polaków ówczesnych był szańcem jedynym. A już napewno w bardzo małym stopniu był on nim dla tych — możnych, bogatych i wpływowych — którzy dziś, gdy zmieniły się czasy, wystąpili jako najgorliwsi orędownicy obrzędów koronacyjnych, pielgrzymek do miejsc świętych i odwiedzania cudownych obrazów. Czy miejsca te podówczas były mniej święte? A święci czy mniej godni nabożeństwa? Nie! Ale wyznawanie i pielęgnowanie tych świętości wtenczas sfery uprzywilejowane z całym spokojem pozostawiały ludowi. Wystarczało im to, że rokrocznie setki tysięcy chłopów ciągnęły „kompaniami" na Jasną Górę lub pod Ostrą Bramę. Żaden podówczas profesor uniwersytetu, żaden dyrektor banku lub przedsiębiorstwa przemysłowego nie wstępował na dzwonnicę, aby obwieszczać hasło dorocznej pielgrzymki. Był czas, że pielgrzymowano bez haseł. **Sfery odgórne czuły się zbudowane i uspokojone już tym, że pielgrzymował lud, że w nabożeństwach i odpustach brały udział milionowe zastępy chłopów.**

Ale oto odmieniły się czasy, a wraz z nimi i odmieniły, odwróciły się role. Chłopi, jak zauważył już Hołówko, jęli w Polsce odrodzonej tracić pęd do pielgrzymek, pochodnia natomiast gorliwości religijnej rozpłonęła w dłoniach prezesów związków cukrownictwa i członków rad nadzorczych wielkiego przemysłu. Czy jeden fakt nie wypływa z drugiego? I czy nieliczni ulubieńcy fortuny nie dlatego dzisiaj tak głośno modlą się i spowiadają w kościołach, że chcą w ich murach zagłuszyć pustkę, jaka się tam szerzyć zaczyna po odpłynięciu mas chłopskich?

Niegdyś, w owych czasach przedhistorycznych, jakimi są dla nas czasy przedwojenne, na najczcigodniejsze pamiątki religijne ludzie dobrze sytuowani patrzyli, oczywiście, z głęboką czcią, z kornym podziwem, z przepisowym nawet rozrzewnieniem... Ale, komużby — dajmy na to: z żubrów wileńskich — przyszło do głowy fundować berło dla „Dzieciątka" lub koronę dla „Matki"? Oni wówczas nie szczędzili fundacji, ale u stóp pomnika Murawiewa lub Katarzyny. To — były ich ówczesne, jeśli nie pokłony wiary, to ostoje asekuracji. Obok korony na świętym obrazie ówcześni „realiści" cenili niemniej koronę na skroniach żywego monarchy, którego mienili „swoim" bez względu na to, czy zasiadał w Petersburgu, Wiedniu lub Berlinie.

Tak, zmieniają się czasy; zmieniają się ludzie i bogowie, a właściwie ludzkie pojęcia o Bogu oraz istotach boskich. Dopóki ten lub ów obraz, choćby „cudami słynący", pozostawał w wyłącznym niemal obrębie wiary chłopskiej, ani ziemiaństwo, ani wyższe sfery mieszczańskie nie troszczyły się zbytnio o symbole tej wiary, o kształt i oblicze tych symbolów. Z okien dworskich i pałacowych pobłażliwie patrzano na to, jak symbole kultu dostosowywały się do skali bytu i odczuwania biedaków; jak święci pańscy i nawet sama Rodzina Święta — rzecby można, w promieniach wiary chłopskiej — sproletaryzowała się i schłopiała. Kogóż wtenczas mógł razić brak regaliów na wizerunku Matki Bożej? Ta, która słuchała skarg i westchnień prostaków i analfabetów wiejskich, sama zstępowała w krąg ich upośledzonej i ubogiej doli.

Inaczej sprawa stanęła z chwilą, gdy pod opiekę tego samego wizerunku udała się już nie Polska chłopska i uboga, ale szlachecka, obszarnicza, magnacka. Zamożnemu ziemiaństwu, wychowanemu w dostatkach, nazbyt prosta i skromna wydała się ta Madonna ludowa. Osądzili, że trzeba podnieść jej „klasę społeczną", dostosować symbole święte do środowiska nowych wyznawców. Tak doszło do pierwszej koronacji, po której nastąpić miały inne, coraz nowe. Katolicyzm polski, który w okresie niewoli, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, żył wiarą i pokorą chłopstwa, w Polsce odrodzonej wspiął się bardzo szybko ku progom wielkiej własności. Fiolet biskupi w Polsce stał się baldachimem, pod którym podało sobie dłonie wszystko, co postanowiło konserwować odziedziczone przywileje i ustalone monopole posiadania.

Dlaczegóż pod tym baldachimem znalazł się już przed laty dziesięciu i obóz, sprawujący rządy w Polsce? Czyż naczelnym zadaniem sfer kierowniczych tego obozu nie było od początku wydanie generalnej walki owej „zbożnej" spółce, której cały program streszcza się w przejadaniu resztek dawno zrujnowanej schedy?

Tak, lecz aby przeciwstawić się naciskowi zbutwiałej spółki ziemiańsko - klerykalnej, należałoby się odwołać do jedynego kolosalnego zbiornika utajonych sił społecznych w kraju: do postępowego, dynamicznego chłopstwa, głodnego ziemi a dojrzałego do udziału w rządach Państwa. Powaga decyzji, przed którą stoi Rzeczypospolita, polega na tym, że z zastoju, nędzy, ciemnoty i bezwładu może ona się dźwignąć tylko w dwudziestomilionowym pogłowiu chłopstwa, chłop zaś nie może ruszyć się z miejsca, **o ile nie złamie hegemonii obszarnika i biskupa,** którzy nawet wtenczas gdy, wraz z całym narodem popadli w niewolę, z ujarzmionej ręki nie wypuścili pańszczyźnianego bata.

Czy w takich warunkach dziwić nas może fakt, że rządy w państwie, w miarę jak oddalają się od linii mas, szukać muszą protekcji u kleru? Objawem poszukiwania takiej protekcji był niezawodnie już przed dziesięciu laty udział całego rządu w owej ceremonii klerykalnej, która tak rozjątrzyła Tadeusza Hołówkę. Ale protekcja kleru nie przychodzi darmo. Kler rzymski, jak wskazuje historia, jest kontrahentem, który umie stawić ceny za swe usługi, paktuje zaś ze stroną tylko póty, dopóki jej nie powali na kolana.

Polska, w osobie swych kolejnych rządów, od pierwszej niemal chwili odzyskania bytu państwowego, płaci kościołowi straszliwe pobory. Już w puściźnie po dawnych gabinetach przedmajowych otrzymała ona fatalny konkordat z Rzymem, dający biskupom w Polsce uprawnienia, jakich nie mają w żadnym innym kraju. Ten niekorzystny dla nas konkordat był niczym innym, jak politycznym refleksem

zdrady, przez partie ówczesne popełnionej na chłopach, których odepchnięto od władzy. Obóz pomajowy nie postarał się dotąd o wyprostowanie konkordatu, nie mówiąc już o tym, że nie wszczynał nawet dyskusji na temat rozdziału państwa i kościoła, tego istotnie wstępnego warunku wszelkiej w Polsce sanacji stosunków polityczno - społecznych. Zawarłszy, ponad głowami chłopów, układ z magnaterią obszarniczą, reżym po-majowy musiał z kolei w ręce duchowieństwa wydawać, coraz nowe dziedziny wpływów, łudząc się, że w zakresie swej bazy społecznej zyska od strony kościoła to, co utracił od strony ludu. Polityka Bloku Bezpartyjnego była akcją, która jednocześnie szła po dwóch drogach równoległych: wysiłkowi odgradzania się od żywych sił społeczeństwa wiernie towarzyszyła dążność do klerykalizacji oświaty i wychowania. W ostatnich czasach mocarstwowe w Polsce stanowisko kościoła rzymskiego wzmogło się niesłychanie dzięki żywiołowej penetracji coraz nowych — i trzeba to otwarcie stwierdzić — coraz mniej wartościowych elementów kruszącego się stronnictwa t. zw. narodowego. W zastępach starej i nowej niewiadomszczyzny kler rzymski ma zawodowych trabantów, którzy, jako misję swą uważają pracę nad przeobrażeniem Polski w państwo kościelne.

Czy od uwieńczenia tej misji jesteśmy jeszcze daleko? Biskup krakowski, tak zuchwale przeciwstawiwszy się majestatowi państwa, postanowił nas przekonać, że, jeśli nie stoimy jeszcze u progów Kanosy, to zmierzamy ku niej żwawym krokiem. Oręż biskupa okazał się za mały, ambicja jego wszakże była dość duża na to, aby zaryzykować próbę sił, mającą wobec świata rozstrzygnąć na gruncie polskim zagadnienie prymatu państwa i kościoła. **Uznał on, widocznie, że lata ubiegłe pracowały dość wydatnie na jego benefis;** że, wystąpiwszy śmiało, za jednym zamachem zbierze wspaniałe żniwo triumfu.

Przeliczył się w swoich siłach. Pomyliła go niecierpliwa ocena sytuacji, w której zbyt wiele majaków poczytał za fakty realne; żywotne zaś i realne siły zlekceważył, jak majaki. Uwiodła go, przede wszystkim, ta sama zgiełkliwa piana endecka, która od dłuższego czasu uwodzi i pewne koła rządowe: ponieważ jest mętna i nieprzejrzysta, więc wydaje się, że płynie wartkim i głębokim nurtem. Następnie w błąd go wprowadziła powierzchowna analiza układu sił w obozie rządowym: zapalczywy biskup wyobraził sobie, że typ endeka jest tam już typem panującym. Najsroższą wszakże niespodzianką miało stać się dlań to, z czym liczył się najmniej: powszechny, nieubłagany, gwałtowny odpór społeczeństwa, burzliwy protest mas.

Ten potężny protest, bijący z samego dna zbiorowej duszy ludu otworzył oczy biskupowi, ale, nareszcie, powinien oczy otworzyć także i rządom naszym, a zwłaszcza tym, którzy za rządy te są odpowiedzialni. Bo, ostatecznie, cóż ośmieliło dostojnika rzymskiego do stawienia czoła rządowi i państwu polskiemu? Przypuszczenie, że państwo to, w osobie swych sfer kierowniczych, tak dalece odeszło od współżycia z ludem, tak, natomiast, ściśle zrosło się z grupą uprzywilejowanych, że odtąd skazane być musi na protektorat kleru, na łaskę i niełaskę episkopatu, na niemoc własnego stanowiska.

Biskup Sapieha zagrał wielką grę i — przegrał. Przegrał bez względu na taki lub inny wynik formalny całego zatargu. Ale nie to jest najważniejsze: najważniejsze jest to, że, porywając się do walki i przegrywając, ukazał Polsce, gdzie leży jej słabość, a gdzie — zaród siły.

W. Rzymowski.

Wielkie złudzenie

Po zjeździe wiejskiej organizacji „Siew"

Zjazd młodzieży wiejskiej „Siew" w dn. 19 i 20 czerwca r. b. nasuwa nam smutne refleksje. Nie dlatego, że liczebnie był okazały, jak chcą jedni, którzy pono liczebność jego wyolbrzymiają; nie dlatego, że liczebnie był zbyt szczupły, jak znowu podkreślają inni. Gdyby był jeszcze o połowę szczuplejszy, lub gdyby był — na odwrót — pięciokroć liczniejszy, negatywne jego znaczenie dla kraju byłoby takie same. Nosił on bowiem w sobie cechy inscenizacji politycznej, stosowanej wobec chłopów nie od dzisiaj. Jest to właśnie smutniejsze, że ani organizatorzy, ani publiczność tego nie dostrzega, i nikt nie zdaje sobie sprawy z następstw, jakie podobne przedsięwzięcia powodują.

Spróbujemy najpierw dać syntezę tego, skąd się rodzą myśli podobnych przedsięwzięć.

Ludzi, znających psychologię mas chłopskich w Polsce nie było. Chłopi o sobie nie pisali. Wyróżniano więc chłopów wedle strojów i obyczajów, dawano przy tym chłopom „duszę" wynikającą z własnej psychologii pisarza szlachcica czy mieszczanina, z psychologii zgodnej z potrzebami warstw uprzywilejowanych i przodujących.

Karmiąca się tymi „duszami" literatura, skolei zapładniała inteligencję, a następni badacze i pisarze czerpali wzory u poprzedników. Z tego źródła czerpią i nadal młodzi pisarze. O chłopie bowiem w Polsce napisać najłatwiej, gdyż tak czy inaczej nikt się nie pozna na treści życia chłopa. Jeśli jest „łezka" i „tężyzna" to i rola pisarza spełniona jest chlubnie dla społeczeństwa i chłopa. Bo w książce o chłopie musi być „łezka", — w lewicowej. A w prawicowej — „tężyzna".

Jakżeż! Wiadomo przecie, że lud jest nieszczęśliwy, ale i — „krzepki". Więc „łezka" i „duch" Łezka, za którą inteligent, gdyby o nim to napisano, gotów byłby się obrazić, robotnik conajmniej siarczyście splunąć.

Pytano nas kiedyś w gronie inteligencji, dla czego robotnicy wolą czytać książki o hrabiach, niż o sobie? Odpowiadamy, że chłopi także wolą czytać o hrabiach, niż o sobie. A to z tej prostej przyczyny, że w książce o sobie nie znajdują siebie. Są tam albo za mądrzy, albo za głupi, albo piękni i nieprawdziwi jak aniołowie.

Nie godzimy się z tezą, że dopiero chłopi mogliby o sobie powiedzieć prawdę. Nie koniecznie! Szlachcic Prus w „Placówce" trzymał już chłopa

za uszy i — jak mawiają chłopi — „ciut, ciut", a byłby chwycił całego. Wymknął mu się chłop dość dziwnie i skrył się w ślimakowej skorupie. Zato szlachcic francuski Balzac odkrył chłopa od samego fundamentu. A polski chłop, wcale utalentowany stylista, Wincenty Burek, zarył chłopa w bagno po wyżej uszu. Tak samo uczynił Orkan pod koniec już życia w swoich głośnych „Listach ze wsi i do wsi". No i tak głupstwo rodziło się z głupstwa; stare brednie rodzą nowe, a wszystko razem daje myślicielowi obraz starganej i wymłóconej słomy, tłumowi zaś inteligencji nasuwa bądź obraz bezradnego dziecka, bądź coś z tężyzny rzeźby greckiej, z okresu jej wspaniałego rozkwitu, bądź wreszcie coś z tanecznego wichru, jak na szkicach Stryjeńskiej.

W ten sposób doszliśmy do doskonałości dwutorowego frazesu. Wybieramy tor zależnie od potrzeby i gustu. Ckliwej wyobraźni odpowiada typ chłopa, jako bezradnego dziecka, narodowemu mieszczaństwu i filistrowi — krzepizna ciała, zdrowia i ducha.

A teraz wróćmy do zjazdu młodzieży z pod znaku „Siewu".

Niechaj nikt nas nie posądza o stronniczość, mimo, iż oświadczamy z góry, że takich zjazdów zwoływać się nie godzi. Nie dla tego, powtarzamy, że był duży, czy mały, lecz dla tego, że nie był samodzielny, ideowy, z ducha tej młodzieży płynący. To, od strony młodzieży. w jej pojęciu była świętówka. Świętówka dlatego szkodliwa społecznie, że odczuwana przez samą młodzież, jako próba obdarzenia jej łaskawizną. To nic, że została przyjęta. Człowiek łaknący nie zawsze może być tak subtelny, aby odrzucić sposobność darowizny. A młodzież chłopska jest bardzo, bardzo łaknąca wrażeń, z których w nędzy korzystać nie może. Gdyby ktoś mający na to pieniądze, wprost z prywatnej swej szkatuły zechciał urządzić podobną imprezę, zwiózłby do Warszawy pół miliona chłopów. Ale jaki z tego miałby pożytek? Czy pamiętanoby mu to i poczytywano za dobrodziejstwo, bardzo o tym wątpimy. Nie chcemy sięgać po przykłady. Ale znamy wypadek, gdy jeden z ziemian chcąc zjednać sobie chłopów w okresie burzliwych starć 1905 roku, zaprosił okolicznych chłopów i uczęstował ich kiełbasą. Chłopi kiełbasę w spokoju spożyli. Ale też po dzień dzisiejszy kpią i wypominają przy lada okazji owemu ziemianinowi, że ze strachu chciał ich „udobruchać" wieńcem kiełbas.

Nie, nie! To stanowczo zła metoda wychowawcza! Nic nie mamy przeciwko temu, aby ułatwić chłopom zwiedzenie Warszawy, czy nawet całego kraju. To może być metoda korzystna. Lecz stanowczo musi nosić charakter jedynie krajoznawczy. W żadnym razie nie można takich zadań łączyć z programami i założeniami ideowymi. Nie wolno się łudzić grzecznością zwołanych tłumów i pozyskaniem ich dusz za tanią cenę wycieczki. Tylko ludzie wierzący w naiwność chłopska mogą sobie na coś podobnego pozwalać, albo też ludzie, widzący chłopów przez okulary mitologii i nie wiedzący o tym, że chłop jest może najrealniej myślącym człowiekiem.

W danym wypadku mamy do czynienia z objawem istotnie czysto mitologicznym, zgodnym z duchem panującym w Polsce, w literaturze i wśród inteligencji, która narzuciła swój mit wielu działaczom chłopskim, przez tę zasłonę nie zdolnych już dostrzec chłopa. I oto te mity, z jednego wyszedłszy łożyska, napierają na siebie, wzajemnie się uzupełniają, mamią i łudzą. Chłop, działacz, głosi to, czym nasiąkł od inteligencji, ta ostatnia bierze „prawdę" z tradycyjnego źródła. I tak powstaje błędne koło. A tymczasem masa chłopska, realna, w realnych żyjąca warunkach, płynie swoim myślowym łożyskiem. Stąd wynikało tyle już załamań stronnictw chłopskich, stąd fakty odejścia całych odłamów inteligencji od ruchu ludowego, z powodu utracenia weń wiary. Tak będą się łamały i wszystkie inne twory, płynące wierzchem, nie odczuwające właściwego nurtu mas.

A tymczasem Polska próżno czeka na swój dzień, który ku niej zwróci masy, da jej opiekę tych mas. Już wspominaliśmy na tym miejscu, (Epoka nr. 12), że tu nie tylko chodzi o ziemię, którą, rzecz jasna, należy im oddać corychlej.

Obserwując pochód „Siewu", widzieliśmy powiaty o znanych nam zgoła innych nastrojach i tendencjach społecznych, niż odczytana deklaracja. Znamy młodzież chłopską i w kołach „Siewu", zgoła inną, niż chce p. Gierat. Komu więc potrzebne są tego rodzaju złudzenia? Komu potrzebne tak poprzebierane dziewczyny, które już dawno zarzuciły swe odpustowe stroje? Widzieliśmy znanego nam osobiście chłopa w wypożyczonej, jako rekwizyt gdzieś przechowywanej sukmanie, gdy nigdy on jej na wsi nie nosi, nosi we wsi kamasze i krawat, pomijając już to, że zgoła nie ma on nic wspólnego z ideologią świątecznej deklaracji. A skoro szedł on na czele powiatowej grupy, to jakąż prowadził za sobą młodzież? Co ta młodzież myślała? My odgadujemy co myślała: „Niech się panowie pobawią. Co to szkodzi". Dodajmy, że te zabawy szlacheckie w stroje chłopskie urządzano i w dawnej Polsce.

Jeżeli ktoś zechce nam zarzucić pesymizm, lub może złośliwość, przyjmujemy zakład: gotowi jesteśmy pojechać z nim do kół „Siewu". Tam w dyskusji przez nas swobodnie i wspólnie wszczętej, z należytego podejścia do sprawy, wyniknie nasza słuszność.

Zdaje się, że z tego, co tu powiedzieliśmy, teza przeziera jasno: ucieczka od rzeczywistości, ucieczka od chłopa i jego prawdy. Ta droga nie prowadzi do porozumienia się z masami, które powinny dźwignąć na sobie dalsze losy państwa. Największe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że nadaje się jej charakter ogólno państwowy i w związku z nią liczy się na siłę, która wesprze państwo, a nie widzi się złych metod i późniejszych skutków.

Stawiamy więc antytezę:

Wrócić do rzeczywistości. Nie rzucać ochłapów. Jeżeli już koniecznie chcemy widzieć zjazd chłopów, bo jakoby ciągle nie znamy ich woli, pozwólmy go zwołać tym, na czyj głos odezwą się najdalsze obszary Polski. Pół miliona chłopów stawi się w Warszawie na zew Stronnictwa Ludowego. Bez zniżek kolejowych, bez dożywiania ich w Warszawie i bez kosztownej opieki. Od Kołomyi i Gdyni od Poznania i Baranowicz będą szli pieszo o twardym chlebie. Przyjdzie conajmniej połowa i tych, którzy byli w Warszawie 19 i 20 czerwca. Taka jest w Polsce sytuacja i wiara chłopa. Po co tej fali przeciwstawiać fikcję? Czy tak trudno się domyśleć, jakie to może spowodować skutki?

Wł. Kowalski

Z dnia na dzień

ZASTARZAŁE NAŁOGI

Obruszył się na nas „Warszawski Dziennik Narodowy" za artykuł wstępny w Nr. 12 „Epoki" p. t. „U zatrutych źródeł". Wprawdzie autor notatki o nas oświadcza, że lubi występy bojowe swoich przeciwników i ocenia artykuł „Epoki" jako „naładowany dynamitem masońskiej nienawiści", jednakże nie przytacza niczego na poparcie tego twierdzenia.

Niewiadomo więc, w czym właściwie „Dziennik Narodowy" dopatrzył się „masoństwa" w naszym wystąpieniu: czy w opinii Stanisława Brzozowskiego o Narodowej Demokracji, czy też w gorzkim o niej sądzie Stefana Żeromskiego, czy wreszcie może w druzgocącym osądzie Józefa Piłsudskiego, zyskującym potwierdzenie w faktach dzisiejszej rzeczywistości. Bo przecież to było założeniem naszego artykułu, reszta zaś treści tam zawartej stanowiła tylko wnioski.

Czyżby więc wszystko, co jest piekącą dla endecji prawdą musi wypływać ze źródeł masońskich i znajdować się na indeksie? Czyżby endecja doszła już do tak ubogiego ujęcia polskości, że w ujęciu tym nie mieszczą się już takie w dziejach polskich pozycje i tej miary indywidualności, co Józef Piłsudski, Stanisław Brzozowski i Stefan Żeromski?

NIEPOKONANA CZKAWKA

W pędzie opowiadania (fuga narrativa) p. Cat-Mackiewicz dogadał się takich rzeczy: „Mnie zawsze olśniewa jeden szczegół z ostatniej doby istnienia narodowej Rosji, mianowicie, chwila kiedy Stołypin i Trepow („ nabojów nie żałować") proponowali kadetom (demokraci rosyjscy, przyp. red.) wstąpienia do gabinetu.... Działali tak za zgodą cara... I kadeci odrzucili ofertę. Wykazali tym anarchiczność swoich rozumowań, swego społeczeństwa, wykazali niezdolność do wolności, wykazali konieczność absolutyzmu w Rosji. I kiedy skończył się humanitarny absolutyzm Romanowów, zaczął się krwawy absolutyzm Stalina". („Słowo" Nr. 161).

Nie wiadomo, co tu bardziej podziwiać: brak odpowiedzialności za wypowiadane słowo, czy zupełne nieliczenie się z czytelnikiem.

Wolno p. Cat-Mackiewiczowi być jeszcze dziś „olśnionym" wspaniałomyślną „propozycją" takich widmowych postaci dawnej Rosji, jak Stołypin i Trepow. Ale podnosić i sławić dziś *humanitarny absolutyzm carów*, czynić to w Wilnie, obok celi Konrada, w grodzie, gdzie dotąd wyzierają jeszcze krwawe upiory: Murawiew-Wieszatiel i Nowosilcow, — stalinowskie perwowzory — to już jest jawne plugawienie prawdy dziejowej i odstraszające pojmowanie człowieczeństwa. Ale tutaj p. Cat-Mackiewicz wypowiada mimowoli rzecz nierównie ważniejszą od powyższej, wypowiada straszliwą prawdę o rzeczywistości dzisiejszej, tę mianowicie, że chcą opanować Rzeczypospolitę te same warstwy społeczne, które były wierną podporą tronu Romanowów i które wciąż żywią głęboko tajone pragnienie, aby również Polska rządzona była w duchu absolutyzmu policyjnego Mikałaja II. Panowie ci (mocodawcy p. Cat-Mackiewicza), najwidoczniej tak obficie ucztowali pod caratem, że wciąż jeszcze odbijają się im te wspomnienia niepokonaną czkawką.

WIDMA ŚREDNIOWIECZA

Duch endecji grzeszyłby odcieniami tolerancji religijnej, gdyby akcji antysemickiej nie uzupełniono szczuciem przeciwko dyssydentom. W Nr. 170 „Warszawskiego Dziennika Narodowego" znajdujemy zapowiedź dalszej ewolucji w tym kierunku: „Wśród przemysłowców znajdujemy — obok Żydów — licznych przedstawicieli wyznań protestanckich. Te inowiercze żywioły w handlu, rzemiośle i przemyśle — będące wielką potęgą gospodarczą — nie dostarczą nigdy chętnych i gorliwych wyznawców katolickiej etyki społecznej! Któżby się łudził, że na tych potężnych inowierczych żywiołach gospodarczych można budować Polskę katolicką?... Polska będzie naprawdę katolicką dopiero wtedy, gdy odzyska dla katolicyzmu wszystkie dziedziny gospodarcze"...

Nie wdając się w rozważania na temat, w jakim stopniu te zasady ekonomiki średniowiecznej maskować mają współczesne łupiestwo kapitalistyczne (powodujące się specjalną etyką bez względu na to czy jest katolickie czy nie katolickie), — trzeba jednakże stwierdzić i przyznać, że w ostatnich dwóch latach endecja mocno posunęła się naprzód. Wybiła się na czoło pochodu społecznego, *idącego wstecz*, ku najbardziej ponurym mrokom średniowiecza. Jej praktyki, siejące zamęt w Rzeczypospolitej, żywo i do złudzenia przypominają dawne tumulty wyznaniowe, cały ten ciężki łańcuch krwawych zbrodni fanatycznego pospólstwa i młodzieży jezuickiej, który pogrążył kraj w odmęcie anarchii i niesławy.

Ostatnie wskazania, hasła i formuły życiowe endecji, sprzeczne z nurtem rozwojowym wolnych i cywilizowanych narodów, — tchną fanatyzmem i stęchlizną średniowiecza.

Ażeby więc przełamać naturalny opór nowego ducha czasu i móc wcielać w dzisiejsze życie polskie swoje hasła, o całe wieki zapóźnione, endecja uciekać się musi również do dawnych metod i środków działania, uciekać się przede wszystkim do instrumentów przemocy i krwawych gwałtów, nie cofając się nawet przed rozpętywaniem zawieruchy narodowościowo-wyznaniowej. Jest to jej żywioł i warunek istnienia, pokój i tolerancja w życiu młodej Rzeczypospolitej przekreślają rację jej trwania. Cóż więc dziwnego, że endecja coraz bezwzględniej przepoić usiłuje nasze życie dławiącym czadem nienawiści i fanatyzmu religijnego, podbechtując nieustannie całe ciemnogłowie i całe duchowe pospólstwo do krwawego zwalczania inowierców. Tylko dziś już jest za widno w Polsce, ażeby długo straszyć mogły złowieszcze widma średniowiecza.

ICH OBYCZAJE

Skłócone grupy „obozu narodowego" usiłują wzajemnie wybić sobie z głowy pewne różnice programowe i pomysły taktyczne. Ale czynią to już nie w przenośni, lecz dosłownie za pomocą pięści i pałki. Ostatnio pobito na ulicy Dra Tadeusza Glużyńskiego, jednego z teoretyków O.N.R. i redaktora „A.B.C.".

Dotąd cała rodzina O.N.R. urządzała publiczne pranie swojej bielizny, obecnie młodzi bracia z pod znaku Falangi rozpoczęli już pranie... bez bielizny. Bo oto — jak głosi tryumfalny komunikat prasowy tej grupy — drugi redaktor „A.B.C." p. Jan Kor. „został zatrzymany przy ul. Kruczej, między Wilczą a Piusa XI. Mimo gwałtownego oporu, *zdjęto mu spodnie*, poczem został obity trzcinową laską. Zajście wywołało duże zbiegowisko ciekawych".

URZĘDOWA OBRONA

Legioniści — tramwajarze, zatrudnieni w przedsiębiorstwach Magistratu, wzruszyli nas serdecznością uczuć dla swego szefa prezydenta Starzyńskiego. Ogłosili oni w prasie odezwę, ostro karcącą napaści, z którymi wystąpili przeciw St. Starzyńskiemu jego zaciekli przeciwnicy polityczni.

Nie wchodząc w meritum tego sporu, witamy wystąpienie tramwajarzy legionistów jako wzruszający akt wspaniałomyślności. Ich postawa byłaby jednak jeszcze wymowniejsza wówczas, gdyby ci panowie, występujący w obronie swego szefa byli służbowo niezależni.

Prawda i prawo

Dnia 16 lutego r. b. cała prasa na świecie otrzymała z Walencji telegram, zawierający raport ministra sprawiedliwości rządu hiszpańskiego o ewakuacji masowej ludności Malagi, zdobytej przez armię III-ej Rzeszy i Italii, do Almerii.

Raport ten w słowach możliwie spokojnych i ścisłych malował sceny niezwykłe, sceny zwane popularnie Dantejskimi.

Dziesiątki tysięcy ludzi nie chciało znaleźć się pod jarzmem gen. Franco i jego sojuszników: starcy, kobiety, dzieci opuścili swoje siedziby i drogą, ciągnącą się na przestrzeni z górą 200 klm. szli tam, gdzie nie zawitała jeszcze „nie-interweniująca" inwazja włosko-niemiecka. Opis tej piekielnej podróży odbywanej o głodzie, bez wody, wśród gradu kul z samolotów i okrętów — sprawiał wrażenie przerażające. W prasie reakcyjnej rzucono hasło: to nieprawda, to — wytwór propagandy „Kominternu", ludność nie opuszczała Malagi, przeciwnie witała radośnie wkraczających „oswobodzicieli"...

Byli tacy, którzy temu zaprzeczeniu uwierzyli, byli tacy, ktrózy świadomie to kłamliwe zaprzeczenie szerzyli.

Dziś już nie ma żadnych wątpliwości, że to wszystko, co zawierał krótki raport walencki było prawdą od a do zet. Wiadomo nawet, że wskutek swojej zwięzłości raport pominął tysiące okropności, setki przerażających faktów... Dziś można przejrzeć ogłoszone drukiem epickie sprawozdania dra Normana Bethune, a lekarza norweskiej misji Czerwonego Krzyża, który z paru sanitariuszami, udzielał w miarę ograniczonych sił ludzkich i możności pomocy tysiącznej masie nieszczęśliwych. Raport ten p. t. „Le crime de la route Malaga-Almaria" opatrzony licznymi zdjęciami, został wydany drukiem i stanowić będzie na długie czasy niezbite świadectwa welkiej zbrodni.

Z wstępu, którym to niezwykłe sprawozdanie lekarza opatrzono, wyjmujemy, co następuje:

„Tłum, oszalały z paniki i rozpaczy, szedł drogami, które wiodą z Motril do Almerii. Cała ludność w ucieczce. Uchodziła ona z Malagi, którą zajmowały legiony Włochów, Niemców, Maurów i „Tercio". Prawa strona drogi, otwarta na morze, znajdowała się pod morderczym ogniem dział statków korsarskich, wspomaganych przez jednostki eskadr włoskiej i niemieckiej. Na skutek wybuchu pękających pocisków, które siały śmierć, tragiczne luki otwierały się w strumieniu ludzkim, płynącym bez zatrzymania: setki kobiet, mężczyzn, starców i dzieci upadało, by więcej nie powstać, w okropny sposób rozstrzeliwane. Z nieba o barwie niczym nie zmąconego błękitu zniżały się samoloty — również niemieckie i włoskie — ołowiem karabinów maszynowych siały wszędzie śmierć"...

Na 4-ech stroniczkach tekstu i 20 kartkach fotografii znajduje się odtworzenie tego istnego piekła na ziemi.

Z każdego wiersza druku, z każdej kartki zdjęć wyziera okropna naga prawda.

Jeżeli powracamy do tych już przebrzmiałych bo z przed 4-ech blisko miesięcy wydarzeń, to nie tylko dla tego, aby o nich przypominać, ale po to, aby stwierdzić jak metoda kłamstwa powtarza się z coraz większą zaciekłością i jak brak właściwej na nią reakcji wstrząsa pokojem świata.

Mieliśmy więc później w parę tygodni znowu puszczone w obieg wszechświatowy kłamstwo o zniszczeniu świętego miasta Basków Guernica. Podczas gdy objektywne śledztwo angielskich rzeczoznawców stwierdziło, że zarówno Guernica jak inne miasta i bezbronne osady Basków zniszczyły eskadry samolotów niemieckich typu „Heinkel 111", propaganda interwencjonistów twierdziła, że to Baskowie sami podpalili i zniszczyli swoje miasta. Oświadczenia księży baskijskich przesłane do Papieża równie stanowczo zaprzeczyły temu kłamstwu.

Metoda zastosowana w granicach lokalnych Malaga — Almeria i Guernica została puszczona następnie w ruch na skalę wszechświatową. Oto dowody: pancernik „Deutschland", atakujący na wodach, na których znajdował się nielegalnie, samoloty hiszpańskie, uległ kontratakowi broniących się lotników hiszpańskich, dziesiątki marynarzy niemieckich przypłaciło życiem tę awanturę. Włochy i Niemcy usiłowały uczynić z tego casus belli, twierdząc, że „Deutschland" padł ofiarą niezawinionej napaści. Zaledwie zlikwidowano to na kłamstwie oparte zajście, a już sfabrykowano nowe.

Zmyślono napad na krążownik „Leipzig", aby upozorować nową próbę agresji na Hiszpanię ludową. Stanowcze choć przybrane w formy dyplomatyczne uderzenie pięścią brytyjską w stół na razie powstrzymały Niemców od dalszych kroków. Demarche brytyjska w Berlinie wyraźnie wskazała, że wszelki nie sprowokowany atak na Hiszpanię republikańską uważany będzie za napaść na W. Brytanię. To oświadczenie, jakiego nie złożył ambasador W. Brytanii w sierpniu 1914 r., gdy armie Wilhelma II wkroczyły do Belgii, wystarczyło żeby okiełznać niepohamowane zapędy wojenne III Rzeszy.

Ze zdumieniem zupełnie nieuzasadnionym dyplomacja obserwuje te „żywiołowe porywy": raz — Niemcy muszą szukać satysfakcji za „napaść" na „Deutschland", to znowu Mussolini grozi zemstą za Guadalajarę, przyznając się otwarcie do tego, że

---

IZYDOR KAJETAN WYSŁOUCH

Zmarł w Warszawie w 68 roku życia Izydor Kajetan Wysłouch (pseudonim Antoni Szech). W roku 1905-tym wystąpił z zakonu Kapucynów, a w roku 1908 przestał być księdzem, popadł bowiem w konflikt z Kościołem, jako siewca myśli niepodległej jakimkolwiek nakazom. Był autorem licznych rozpraw i broszur („Religia ludzkości", „Uwagi o socjalizmie" „O prasie katolickiej" i inne), w których walczył o wolność sumienia i sprawiedliwość społeczną.

W Polsce już niepodległej wstąpił na służbę do Ministerstwa Opieki Społecznej, w 1936 roku przeszedł na emeryturę.

Na wszystkich drogach swego życia kierował się sercem najszlachetniejszym i myślą głęboką, zapatrzony w lepsze Jutro narodu i ludzkości.

Odszedł człowiek prawdziwie piękny.

Italia interweniuje czynnie w wojnie domowej hiszpańskiej. Gdyby nie sprzeczności interesów tych sojuszników, gdyby nie stan umysłów ich obywateli, wysiłki dyplomacji pacyfikującej każdy oddzielny incydent, były by bezskuteczne.

***

Po skrytobójczym zabójstwie braci Rossellich, którzy stali na czele organizacji emigrantów włoskich pod hasłem „Giustizia e Liberta". (Sprawiedliwość i Wolność) — puszczono w ruch nowy stek kłamstw i oszczerstw: usiłowano wmówić w opinię świata, że Rossellich zamordowali ich współtowarzysze za zdradę przekonań. Nikt w to nie uwierzył, a honorowy sztylet faszystowski porzucony na miejscu zbrodni był niemym, ale żywym zaprzeczeniem tej ohydnej insynuacji.

Spisek kłamstwa przeciw pokojowi świata nabrał szczególnej odwagi i zuchwałości w chwili, kiedy finasjera francuska, uzyskując oparcie w senacie zdołała doprowadzić do dymisji rządu Bluma we Francji. Cóż za westchnienie ulgi rozległo się w prasie prawicowej i nacjonalistycznej całego świata, gdy przyszła wieść, że pp. Caillaux i Abel Gardey, pod pokrywką obrony interesów parlamentaryzmu zdołali wytworzyć przesilenie rządowe we Francji.

Wśród ludzi małej wiary, łatwo ogarnianych paniką, nadeszły chwile upadku ducha... Krótki to był moment... Trzeba powiedzieć, że pisarze kierowani przez p. Goebbelsa, ani na chwilę nie byli ogarnięci nadziejami, które mogła w nich zrodzić „panika" pewnych środowisk opinii publicznej.

Bardzo trzeźwo i realistycznie oceniano w Berlinie sytuację. I istotnie po rządzie Blum — Daladier przyszedł rząd Chautemps — Blum, drugi rząd Frontu Ludowego. Rząd mniej drażniący sfery drobnych posiadaczy francuskich, ale nie rezygnujący z programu i większości Frontu Ludowego, Wice-premier nowego rządu francuskiego, Blum, układa wraz ze swoją partią projekt okiełznania pretensji Senatu, który usiłuje niweczyć stanowisko przedstawicielstwa narodowego, jakim jest we Francji Izba Deputowanych.

Kłamstwo o zasadniczym przełomie we Francji na prawo nie przetrwało nawet 24 godzin.

Oceniając położenie stworzone we Francji wskutek ostatniego przesilenia, wywołanego przez Senat, pisarze lewicowi piszą w „Vendredi": „Francja będzie miała rację! Francja — to większość Izby Deputowanych, a nie Senat".

Tak samo w sprawach Malagi i Almerii, w kwestii kraju Basków i jego głównych ośrodków, w sprawie zamordowania Rossellich — racja jest i będzie po stronie ludów i prawa.

St. Grostern

Wyścig pracy czy kult niekompetencji

Niedawno zmarła Janina Strzelecka, znana i niestrudzona pracownica społeczna nadesłała nam na krótko przed śmiercią artykuł poniższy. Drukujemy więc to ostatnie jej wystąpienie, będące niejako głosem z za grobu, w tym przeświadczeniu, że uwagi krytyczne tu wyłożone mogą w pewnym zakresie oddziałać korzystnie na stosunki panujące.

Redakcja „Epoki".

Każdy miniony tydzień pozostawia człowieka w stanie substancji, utłuczonej na miazgę w moździerzu. Wszelkie pojęcia o prawie do własnego, rodzinnego, czy wogóle prywatnego życia okazują się w bilansie takiego tygodnia pozycją nieistniejącą, irracjonalną, a statystyka przepracowanych godzin przedstawia się nad wyraz nonszalancko, a nawet arogancko w stosunku do prawa o ochronie pracy (siedmio i ośmiogodzinny dzień i t. p. dzieciństwa). Groźna przepowiednia mściwego Jehowy „w pocie czoła zdobywać będziesz chleb Twój" okazuje się wciąż jeszcze aktualna, a ziemskie półbogi solidaryzują się całkowicie z surowymi poglądami i wymaganiami tego niedościgłego pierwowzoru i niewątpliwie oryginalnego twórcy pojęcia organizacji pracy.

To też każdy stara się, jak może, przypodobać swemu lokalnemu półbóstwu i usiłuje pracować. Większość zasiada, urzęduje, amci, konferuje, przyjmuje, celebruje, asystuje, referentuje na otwarciach, zamknięciach, poświęceniach, przecięciach, odsłonięciach, obchodach, rocznicach, zjazdach i wogóle. — Nie wyliczę i tak tych wszystkich okazji, które w trzech czwartych zapełniają dzień pracy, a praca... praca przerywa się na trzy czwarte dnia niekiedy, z powodu naszych nawyków. Leżą i czekają na decyzje najważniejsze sprawy niekiedy, stanowiące sól i chleb surowego dnia powszedniego. — Leżą i czekają na podpis sprawy najpierwsze w kolejności. Niech leżą. A potem załatwia się je na łeb na szyję, w najostatniejszej chwili, bez przemyślenia, bez przestudiowania, w obłędnym pośpiechu, tak często zapóźno.

To zupełne nieuświadomienie sobie kolejnej ważności spraw a zwłaszcza krok drugi przed pierwszym (najpierw decyzja, potem spóźnienie, refleksja, i wycofywanie się w obliczu konfrontacji z życiem), — oto, co stanowi piętę Achillesową pracy u nas, która ciągle jeszcze jest w stadium nie uproszczenia i ładu, ale raczej chaosu. Drugą bolączką, niszczącą tak często możność pracy u nas, jest mania pomysłów i inowacji. Każdy chce się czymś „wykazać", każdy „zerwać z szablonem", każdy coś innego wprowadzić, ale przede wszystkim zademonstrować tak zwany „wynik pracy". Do tego się dąży za wszelką cenę, to spędza sen z powiek, to powoduje tak często, że zwykła praca codzienna jest zupełnie niepogłębiona, wykonana nadwyraz powierzchownie, bez przemyślenia i bez celu, jakim jest stwarzanie wartości pozytywnych, niezbędnych, natomiast celem jest wykazanie się „wynikami", którymi tak często bluffuje się panów od góry, zapraszanych na te właśnie, wszelkiego typu, „otwarcia", czy „zamknięcia".

W związku z tym, przypomina się coraz częściej niezawodna metoda wielkiego Kalifa, Harun-al-Raszyda, który w przebraniu ówczesnego szarego człowieka włóczył się po ulicach, domach, instytucjach Bagdadu i łapał życie na gorąco, stykał się z nim i z ludźmi bezpośrednio, konfrontując potem własne wrażenia z opiniami swych dostojników o tych samych sprawach.

Wielki Kalif miał napewno swoje własne wyrobione zdanie i o samym procesie powstałych dokonań, ale nade wszystko o wynikach pracy, będących tak często inscenizowaną maskaradą odświętną przy łachmanach nędzy na codzień. Myślę, że mądry Harun-al-Raszyd uczył się świetnie orientować, kto za co ponosi odpowiedzialność, a cenił nade wszystko ludzi, którzy się tej odpowiedzialności nie boją.

Bo dzisiaj, za poważne gaffy przeważnie się odpowiedzialności nie ponosi. Namąciwszy, nakręciwszy, zmarnowawszy Bóg wie ile pieniędzy i ludzkiej pracy tudzież cierpliwości na objekt, jak się potem okazuje, do niczego nie przydatny, albo fatalnie pomyślany, zaprasza się na otwarcie. Oczywiście każde takie otwarcie przedstawia się w sensie demonstrowania „wyników pracy" imponująco, ale jak to będzie z tymi wynikami na codzień — mało kto pyta.

Nie chodzi tu bynajmniej o jałową malkontencką krytykę, ale o zwrócenie nareszcie uwagi na ten przerażający wyścig autoreklamy, który staje się u nas nie do zniesienia.

Prawie każdy lokalny działacz chce się czymś popisać i czymś zaamcić i oto powstają dziwolągi, niekiedy nie do wiary. Natomiast nie zauważa sę, albo lekceważy pracę naprawdę twórczą, jakkolwiek na pozór nieefektowną.

Znamiennym jest, że tego typu praca jest bodaj najtrudniejsza i na największe natrafia przeszkody, — bo właśnie w powyżej określony sposób pracują przeważnie zamiłowani fachowcy, którzy są u nas przecież dość często lekceważeni, albo conajmniej niedoceniani. Obsadza się wciąż jeszcze stanowiska pod kątem zasług, nie pod kątem tak bardzo słusznej zasady, jak: właściwy człowiek na właściwym miejscu.

I o ile taki „zasłużony" z powodu swej tak częstej ignorancji, indolencji, niekonsekwencji etc. napsuje coniemiara, nie wyciąga się stąd żadnych konsekwencji, ale „desygnuje" na inne równie odpowiedzialne stanowisko, podrywając w opinii zaufanie do szczęśliwych nawet posunięć.

Taki oto indolent ma właśnie pod sobą bardzo zdolnych niekiedy ludzi, kompetentnych, pełnych inicjatywy, znających się świetnie na rzeczy, ale nie znaczy to wcale, aby umiał ich wiedzę i praktykę wykorzystać. Wręcz odwrotnie — decyduje w sprawach, o których nie ma czasami pojęcia. Jegomość taki piastuje niekiedy parę i kilka stanowisk, ale gdzie i kiedy urzęduje w swoich biurach, czy instytucjach nigdy dowiedzieć się nie podobna.

Jest nieuchwytny. Sprawy ważne i pilne czekają.

Na ola Boga, w ostatniej chwili, przegląda, decyduje, najczęściej omylnie, bo go przecież — oprócz własnej kariery — żadna sprawa naprawdę nie obchodzi. „Ideowy" emeryt. I dlatego głębokie słowa Marszałka Piłsudskiego o „wyścigu pracy" są często jeszcze tylko słowami, bo bardzo nieliczni rozumieją ich właściwy sens i znaczenie. Praca we właściwym, głębokim tego słowa znaczeniu jest u nas z nielicznymi wyjątkami niedoceniana. Jesteśmy najmniej demokratycznym społeczeństwem w Europie. Człowiek pracy nie ma u nas należytego poważania, natomiast człowiek „zasługi", autoreklamy, a więc z protekcją, z plecami, ze stosunkami, choćy aktualnie wątpliwych walorów, albo miernota, położy na obie łopatki najzdolniejszego, najświetniejszego pracownika, który tych zasług najczęściej z powodu młodego wieku (taki młody wiek to czasami i 35 lat skończonych) nie posiada.

Jeżeli są entuzjaści pracy mądrej, twórczej, jeżeli zdołali cele i zadania tej pracy przemyśleć, no to niestety muszą ją wykonywać częstokroć przy pomocy fatalnie niekiedy dobranego personelu. „Trzeba tego przyjąć", „temu się przysłużyć", „tamtemu zrobić koncesyjkę" i t. d. Nowy człowiek, nowi ludzie. Czystka, zmiana, przenosiny i w ogóle ciągła niepewność jutra, bankructwo od dzieciństwa znanej maksymy „cierpliwością i pracą" — i niewiara w sprawiedliwą i bezstronną ocenę pracy—i to co sprawia, że pracuje się bez zapału, bowiem nie ma pracy bez atmosfery pewności i zaufania. Sądzę, że najmądrzejsze okólniki nie pomogą, dopóki nie wejdzie w życie zasada, że obsadza się stanowiska i posady nie tylko pod kątem zasług czy protekcji, ale pod kątem aktualnej niewątpliwej wartości, fachowości i entuzjazmu do pracy. Najwyższy czas pomyśleć o przyszłości, a nie pławić się ciągle w przeszłości. Pomyśleć nareszcie o młodych, którzy wszakże w dużej mierze za publiczne pieniądze odbywają studia, a ukończywszy je nie znajdują pracy w swoim zawodzie, ale łapią się byle czego aby wyżyć.

W wyścigu i do wyścigu pracy stanąć powinni ci młodzi, zdolni, twórczy, a nie wybrakowani i nieprzygotowani do aktualnych potrzeb i żądań dzisiejszej rzeczywistości, wiecznie ci sami ludzie wczorajsi i ludzie wczorajszego dnia.

Janina Strzelecka

Tęcza nad gnojówką

Romantyzm popowstaniowy oraz jego czołowi pisarze, a wśród nich przede wszystkim Prus, Orzeszkowa, Wyspiański, Kasprowicz, Konopnicka, Świętochowski, Reymont — dokonali pewnej zmiany w psychice inteligencji. tej inteligencji. która atmosferę szlachecką uważała za jedyne „oddychalne" powietrze Polski. Wulgarny do chłopów stosunek, zaszczepiony powszechnie przez obszarników i tępe kołtuństwo, uległ pewnej zmianie. Ale zmianie krańcowo naiwnej. Polegała ona na tym, że o ile wprzódy uważano chłopa za stworzenie gatunku niższego, nie dające się ucywilizować, o tyle teraz rozwieszono malowniczy nad chłopem baldachim, niczym tęczę świetlistą, i ustawiwszy go w stopniach ołtarza, okadzano wonnymi aromatami. Z nędznych pól tego chłopa do nędznej i brudnej chałupy-gnojowicy szły Reymontowskie „kadzielne zapachy". Inteligencja polska (i nie tylko polska) przesiąkając duchem mistycyzmu, przeoblekła się w szaty zwiastującego anioła, wyklinała swoją grzeszną przeszłość i ogłaszała niepokalaną boskość ludu. Chłop, czy to dla włoskich „popolarów", rosyjskich „narodników", czy polskich „ludowców" stawał się nie realnie żyjącym obywatelem, lecz jakimś tworem nadziemskim: istotą umysłem ludzkim nieogarniętą w swoim żywiole.

Wszystko to wywodzić się miało z sakramentu ziemi. Przyroda — pięknymi i zbożnymi dowodzono słowy — potężnie wpływa na charaktery, kształtuje wolę, odradza biologicznie ludzkość.

W rzeczywistości, pod wpływem rozwoju kapitalizmu, wdzierającego się na wieś i wyciskającego stamtąd co się wycisnąć dało, chłop z roku na rok w coraz głębszą pogrążał się nędzę. I czyż trzeba dodawać, że w nędzy tej poniewiera się i karleje dotychczas? Aby przekonać się o tym, wystarcza przejrzeć wyniki naszych komisyj poborowych...

Ale inteligencja... o święta naiwności!... niby widzi tę nędzę, niby korzy się przed nią, mimo to jednak głosi tężyznę i wigor krwi chłopskiej, przytacza taką masę zablagowanych teoryj i frazesów, tak beznadziejnie plącze się w nich sama i sama sobie zaprzecza, że gdyby ktokolwiek spróbował tę gmatwaninę rozwikłać, uderzyłby mu zawrót do głowy.

Nie negując ogólnoludzkiego do chłopów miłosierdzia, które cechowało postawę mistyczno - szlachecko-mieszczańskiej inteligencji, nie trudno przecież zrozumieć, że to jej stanowisko nie przynosiło rzeszom chłopskim żadnej ulgi ani korzyści moralnej. (O korzyściach materialnych świadczy cała historia chłopów). Podkreślamy to tym mocniej, że t. zw. przyjaciele ludu po dziś dzień uważają siebie za „postępowców" i „wychowawców", którzy jakoby wywiedli chłopów z domu niewoli.

Zobaczymy później, że ów rzekomy postęp zbiegał się z obszarniczym i klerykalnym zacofaniem, a „wychowanie" równoznaczne było z jeszcze silniejszym zakuciem chłopskiego mózgu w pęta ciemnoty i bezradności.

Skoro podkreśliliśmy, że pewne koła inteligencji uważały się i nadal uważają za „przyjaciół ludu", to tym samym uchylamy zarzut co do posądzenia nas o złośliwość. Cóż znowu! Owi panowie i panie najszczerzej w świecie pracowali „dla ludu". W jaki sposób — spytamy — wmaszerowali oni w tę samą obszarniczo-kołtuńsko-klerykalne szranki ideologii antychłopskiej? Zabieg, który wymieniliśmy powyżej, a który wyraża się w uczynieniu z chłopa istoty nadziemskiej (zgoła do wszystkich innych ludzi niepodobnej) — ten zabieg wyjaśnia wiele ale jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego. Wypada tedy pokrótce zilustrować metody owych „przyjaciół ludu", metody z których kolejno uwidocznią się skutki i owoce pracy.

Jak wiemy, szli oni „w lud" po katastrofie klęski Powstania 1863—64 r. Szli z hasłem Polski na ustach. Tej Polski, która żyła i zginęła z batem na chłopskiej skórze. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że obszarnictwo i po zniesieniu pańszczyzny zachowało w stosunku do chłopów tę samą starodawną pogardę, że pogardę tę okazywało chłopom również wulgaryzujące kołtuństwo, trzeba przyznać, że „postępowcy" podjęli się naprawdę ryzykownej pracy. To też sami rychło spostrzegli, że wyśpiewywanie chłopom ckliwych jedynie piosenek Konopnickiej nie odniesie skutku. Trzeba było szukać praktyczniejszych środków dotarcia do rdzenia mas. Próbowano więc szczepić Owenizm. Przeniesiono jednocześnie na grunt polski teorie duńskiego biskupa Grudwiga. Nie tyle jednak przydała się Grudwigowska teoria, która poniekąd utożsamia się Owenizmem, ile sam biskup oraz jego infuła. Wierząc bowiem w głęboką, nie dającą się wykorzenić Reymontowską religijność chłopów, a dostrzegając i nierozumiejąc niechęć chłopów do kleru, przeciwstawiono skwapliwie, reakcyjnemu polskiemu klerowi duńskiego „ludowego biskupa", dobroczyńcę, który zbawił i zbogacił ubogą Danię. (Pobożne życzenie, aby kler stał się ludowy). Tego, że Dania leży prawie na przedmieściu Londynu i temu właśnie zawdzięcza swój rozwój, jakby nie dostrzeżono. Nie dostrzeżono też zapełniania się rynków przemysłowych. Rozpadanie się chłopskiego stanu posiadania w Polsce nie było dla naszych „przyjaciół ludu" zjawiskiem obcym. Mieli oni o tym jakieś bezsporne choć mgliste pojęcie, gdyż wskazywali na ziemię obszarniczą, jako na zapas i rezerwę gospodarczą dla chłopa. Lecz ten rozkład chłopstwa wcale im nie przeszkadzał nadal głosić haseł o ogólno-chłopskim dobrobycie, osiąganym i osiągalnym dzięki zastosowaniu lepszej uprawy, spółek i t. d.

Wypada stwierdzić, że wśród chłopów już wtedy istniała duża możliwość pracy w kierunku solidnej przebudowy społecznej, a ta jedynie mogła poruszyć ubożejące i bezrolne masy. Dobra, przystępna dla chłopów literatura socjalistyczna, będąca odpowiednikiem tej, którą dla robotników tworzył wtenczas właśnie Piłsudski, stojąc na czele P. P. S., byłaby znalazła grunt podatny i wyjaśniłaby rolę caratu, powiązanego z lichwą kapitalistyczną i obszarnictwem. Ale o tym nikt nie myślał i nikt w to nie wierzył. Frazeologiczna natomiast ekonomika „postępowców" trafiać mogła jedynie do żywiołów spekulanckich, zamożnych. Ci zaś pojęli ją swoiście w sensie praktyki, polegającej na bogaceniu się i tylko bogaceniu swej kieszeni. Chwytali się pod wpływem hasła „postępowców" za sklepikarstwo, propinacje, drobny przemysł. W spółkach wodzili rej i ciągnęli zyski, opłacając administrację spółek kosztem ogółu. „Braterstwo" chłopskie przynosiło zyski jednostkom, a ogół ubożał nadal, przygniatany z dwóch stron: przez wielki kapitał i rozwijający się kapitał chłopski „kułacki". Ci bogacący się chłopi odwzajemniali się swoim nauczycielom tak, że — czując już sukmanę na ramieniu — woleli płaszczyć się przed księdzem, popić w karczmie z wachmistrzem, zaspekulować coś przy dworze. Wyzyskiwali oni wszelką okazję do chwycenia grosza. Chłop ubogi częstokroć za poręczenie na kupno krowy kredytu w kasie gminnej musiał się wywdzięczać odrobkiem, poczęstunkiem w karczmie lub inną niemniej ciężką daniną. Że ten wyzysk i sprzeczności między górną i dolną warstwą chłopów nie ujawniał się w formie otwartej walki, „postępowcy" nie potrafili tego do-

Krakowski sąd przysięgłych w sprawie o najazd w Myślenicach nie uznał winy oskarżonego Doboszyńskiego. Ława przysięgłych na dwanaście pytań głównych i dwa dodatkowe co do przestępstw, wymienionych w akcie oskarżenia, odpowiedziała jednogłośnie „nie". A więc w myśl tego niesłychanego werdyktu na pytanie: czy wolno urządzać zbrojne i niszczycielskie napady na spokojne miasto, — odpowiedź brzmi: wolno. Czy można bezkarnie okupować i demolować mieszkanie starosty, urzędowego przedstawiciela Rzeczypospolitej: wolno. Czy wolno włamywać się do posterunku policji państwowej, rabować karabiny i granaty, obracając je po tym przeciw obrońcom ładu i porządku w państwie: wolno. I t. d.

Czy ci ludzie chcą wmówić w nas, że Polska nierządem stoi?

Jakiż to piekielny, z życia dobyty argument na rzecz tych co skasować chcą sądy przysięgłych, jako niepewną podporę wymiaru sprawiedliwości!

strzec i w dalszym ciągu głosili powszechną zgodę i *„bratnią miłość“* wśród chłopów.

Pomagając do rozwoju kapitalizmu we wsi, a przez to samo zubożając masy chłopskie, „postępowcy" nie zaniedbują przecież informowania inteligencji o swych obserwacjach na wsi chłopskiej zebranych.

Właściwie, nauka o chłopach już jest niejako zakończona. Istnieje w teorii podwójnej. O wulgarnej, obszarniczo-kołtuńskiej już mówiliśmy *). Drugą dał głównie Prus i Reymont. Prus nazwał swojego chłopa ślimakiem i przykleił go do skorupy zagona, od której Ślimak nie chce odejść za żadną cenę. Reymont zamknął chłopów w wegetacyjnej orbicie koła, toczącego się ślepo za odmianą czterech pór roku. Taka ma być wedle niego chłopska odwieczność i chłopska przyszłość. Innych widoków przed chłopem niema i nikt jakoby we wsi ich nie pragnie. Nie marzy o nich biedny i nie chce ich bogaty. Sokami ziemi żyjąc, ciałem i duszą z matką ziemią są zrośnęci. Leją gorące łzy nie nad nędzną dolą, która ich czeka, gdy muszą się na długi i podatki wyzbyć ostatniej krowy. Nic podobnego. Gorące łzy leją nad stworzeniem, które okrutny Żyd wyprowadzi z obory i powiedzie niemiłosiernie do szlachtuza, aby zarżnąć na mięso.

Cóż można zarzucić szlachetnemu Reymontowskiemu stosunkowi do zwierząt? Nic! Jest ono przecież wytworem, a zarazem świadectwem kultury człowieka.

Pozwolimy sobie jednak zacytować pewien wypadek, jaki zdarzył się latem roku zeszłego, a opisany był w „Kurierze Porannym". Otóż wybrał się ktoś na letnisko do chłopa na wieś, a tak się tam niewygodnie wyspał, że uważał za stosowne z publiczną wystąpić skargą. Przeszkadzał mu, mianowicie, spać kogut, gdyż — jak wiadomo — pieje, poza tym kwiczały świnie, ryk wydawała krowa, szczekał pies, zawcześnie zerwał się ze snu chłop i hałasował przy koniach. Słowem piekielne koło udręczeń. A przecież owo koło udręczeń to — właśnie sielska poezja Reymontowska! Prosimy pomieszkać tak w tym kwiku, beku, pianiu kurów i ryku bydła choć przez rok jeden, w dodatku nie mając czym zatkać gęby tym stworzeniom, a wtedy dopiero zrozumiemy, dlaczego to nie chłopskie, lecz „pańskie oko konia tuczy". Pomieszkajcie w takich warunkach jak ubogi chłop — z krową przez sień, ze świńmi pod ścianą chałupy, z kurami na grzędzie w sieni, zobaczycie co to za rozkosze! I jak smakują w rzeczywistości, nie zaś w oprawie barwnej reymontowskiej stylizacji. Idźcie za krową dzień w dzień o świcie w pole, pogoda czy słota. W dodatku miejcie jałowy ugór. Zobaczycie wtedy, jakie to miłe to boże stworzenie! I jak radować musi serce chłopa swym widokiem, zwłaszcza wtenczas, gdy mleko i masło od tak wypielęgnowanej „karmicielki" oddawać trzeba komornikowi.

Gdy pewnego razu odczytano chłopom rozdział z „Placówki" Prusa, gdzie autor opowiada, jak to Ślimak nie chciał zagrody swej sprzedać za podwójną cenę, ci, nie słysząc przedtem o pisarzu, zapytali: „W jakim to kraju żyją jeszcze chłopi aż tak głupi?"

K. Sław.

*) Patrz „Epoka" nr. 4 („Synowie chłopscy w małpich objęciach").

Demon erotyki w repertuarze wstecznictwa

Aby owładnąć dziedziną głębokich najpoufniejszych przeżyć człowieka, trzeba na niej kłaść rękę od jego lat najwcześniejszych. Dlatego to wszelkie dyktatury totalne, a przede wszystkim totalizm hitlerowski usiłuje zakotwiczyć się w duchowej budowie młodzieży i dziatwy. Wie on, że nie znajdzie dźwigni skuteczniejszej dla zachowania swej władzy, niż siew i uprawa posłuchu dla autorytetu, którego podstawa psychologiczna spoczywa w wychowaniu ascetycznym, w cnocie wyrzeczenia, w przezwyciężaniu płci. Zdrowe uczucia miłosne, zwracające się ku osobnikom płci odmiennej, zostają już od wczesnej młodości wypierane bądź przez sadyzm i homoseksualizm, bądź przez propagandę ascezy. Te zwyrodniałe popędy i skłonności zbierają żniwo szczególniej obfite w słynnych niemieckich obozach pracy (Arbeitsdienstlager) jak zresztą i we wszystkich innych ośrodkach, poświęconych kultowi posłuszeństwa i karności. To żniwo zwyrodniałych popędów, groźne dla cywilizacji i pokoju, stanie się nieocenionym dla faszyzmu kapitałem w razie wojny: wojny, która czai się w perspektywie każdej dyktatury, jako nieodzowne jej ujście, a nawet jako jedyny jej ratunek, mogący nienawiść sprężoną wewnątrz społeczeństwa, odwrócić ku nieprzyjacielowi zewnętrznemu.

Gdy stajemy w progach niemieckiego obozu pracy, witają nas sztandary, na których wypisane są hasła koleżeństwa, honoru i dobrowolnej dyscypliny. Ale hasłom tym nie dajmy się uwieść! Poza ich narzutliwą fasadą tai się bunt, tai się opór przeciw zdławieniu wszelkich odruchów życia osobistego a więc i tej sfery, w której zamyka się najbujniejsza tesknota młodości.

Młodzież, powoływana do obozów pracy, są to chłopcy w wieku od lat 17 do 25, a więc w rozkwicie żywotnego wigoru. Większość z nich żyła przed tym życiem miłosnym w normalnym stosunku z kobietą. Życie to udręczone było i przedtym wszystkimi niedolami, jakie młodzież niezamożna spotyka dziś na wstępie dojrzałości: brakiem pracy i zarobku, nędzą i drożyzną mieszkań, zacofaną ustawą małżeńską, drakońskimi paragrafami, strzegącymi niewoli i tortury kobiet, ubóstwem wreszcie, nie pozwalającym kobiecie na regulowanie macierzyństwa. Ta dotkliwa sytuacja młodzieży zmienia się w obozie pracy na jeszcze gorszą. Z chwilą przekroczenia jego progu znika dla chłopca możność spotkania się z wybraną dziewczyną, możność utrzymania lub pielęgnowania dawnych związków. Regułą, panującą w obozie, jest wstrzemięźliwość lub onania. Stąd, jako skutek nieodparty, zbrutalizowanie i splugawienie najczystszego szeptu miłości, bezwstyd sprośnego żartu, zgnojenie w błocie i kale całej erotyki życia, ponad tym zaś wszystkim wybujałość fantazji, pławiącej się w snach pełnych gorączki i pożądania, w obrazach lubieżnego gwałtu, okrucieństwa i przewrotności. Stąd wreszcie wzrastająca nerwowość i pobudliwość, stąd dolegliwości cielesne i zaburzenia duchowe najrozmaitszego rodzaju: ***w zatrutych***

owocach hodowanych przez siebie, faszyzm odtwarza glebę, z której powstaje.

Te owoce zatrute i tę glebę faszyzmu społeczna polityka lewicy powinna jak naiiaskrawszym oblewać światłem. Powinna uwydatniać je tym śmielej, że głos, wskazujący krzywdy, udręki i poniżenia seksualno - społeczne liczyć może na najwyższy oddźwięk w szeregach młodzieży: tej właśnie młodzieży, którą faszyzm najusilniej wabi do siebie.

Średnio rozwiniętemu chłopcu (któż się z tym nie zgodzi?) o wiele jest łatwiej wyklarować jego upośledzenie płciowe, niż wykazać, że obóz pracy koniec końcem służy interesowi kapitalistów. Młody pracownik, czy młoda pracownica szybciej, chętniej, skwapliwiej zrozumieią swą sytuację klasową, gdy ją ujrzą oświetloną od strony trudnościi, które udaremniają lub opóźniają założenie ogniska rodzinnego; od strony ucisku, który wypacza i poniewiera ich życie płciowe i w którym życie to zamyka współczesny system gospodarczo-społeczny. Ten system, tak nieubłagany dla młodzieży, daremnie szukającej pola dla pracy i twórczości, jest niemniej okrutny dla niej wtenczas, gdy szuka ona serca, zdolnego odpowiedzieć wiernością na wierność, oddaniem na oddanie. Harmonia w miłości nie jest możliwa do osiągnięcia bez uprzedniej swobodv w wyborze partnera i partnerki, bez szerszego, wolnego pola tego wyboru. A jakiż zakres tego wyboru stoi przed nędzarzem, skazanym na dożywotnie bezrobocie, wegetującym w izbie chłopskiej, w miejskiej suterynie, tym beznadziejnym kolektywie wyrzeczeń?

Czy ci, którzy tragedię bezrobocia włączyli jako stały już czynnik do bilansu naszej gospodarki, zastanowili się nad otchłanią animalizmu, w jaką osunęło się życie płciowe milionowych tej tragedii ofiar? I czy sądzą, że na poniewierce tego życia opierać mogą jakiekolwiek widoki dalszego rozwoju lub choćby zachowania cywilizacji? Jeśli na jednym biegunie kapitalizmu, na biegunie zbytku, kobieta bywa przedmiotem użycia, nabywanym po kosztownej cenie, to na biegunie przeciwległym, na krańcu nędzy i bezrobocia, akt miłości między mężczyzną a kobietą staje się już nie szklanką wody, mającą ugasić pragnienie, ale garnkiem pomyj, zaczerpniętym z kałuży. Czy można twierdzić, że krzywda dwojga osób, skazanych na tego rodzaju samoponiżenie, jest wyłącznie ich krzywdą osobistą, ich kwestią prywatną? Można-ż poprzestać na tezie, że tylko zagadnienie zachowania i pielęgnowania życia jednostki interesuje politykę, gdy tymczasem sprawa przekazywania życia potomstwu a więc forma i organizacja stosunków płciowych między ludźmi, jest dla polityki obojętna?

Nie! Jeśli teza taka wystarczała do niedawna, to nie może wystarczać dzisiaj. Zburzyli ją zresztą, sami wstecznicy, wciągając kwestię płci i kodeksów płciowych do swych rachub politycznych, a więc *upolityczniając tę sferę życia, która uchodziła dawnej za najprywatniejszy jego zakątek.* Czyż mogą ją wobec tego lekceważyć ludzie postępu, spychając poza horyzont publiczny zjawisko wywierające kolosalny wpływ na cały układ stosunków społecznych?

Front walki o przebudowę kultury obyczajowej i rodzinnej nie wyłącza bynajmniej ogólnego, zasadniczego frontu walki o nowe formy ustrojowe w życiu gospodarczo-społecznym. Ani go wyłącza, ani go może zastąpić. Przeciwnie: walka seksualno - społeczna jest tylko częścią w zbiorowej walce warstw wyzyskiwanych i uciśnionych przeciw wyzyskiwaczom i możnowładcom. Próżno by dociekać, w iakim stosunku ta część pozostaje do całości, jakie powinna zająć miejsce wewnątrz ogólnego ruchu robotniczego i ludowego. Wątpliwości nie ulega jedno: jeśli formy życia rodzinno - seksualnego wyznaczane bywają przez układ gospodarczy i nie mogą odmienić się bez przekształcenia tego układu, to, z drugiej strony, ewolucja form, ujmujących stosunek i współobcowanie ze sobą obojga płci, jest bezspornym czynnikiem ogólnej ewolucji społeczno - gospodarczej i politycznej.

Nie brak ludzi, którzy polityce seksualnej, wywodzącej się z nowoczesnej teorii psychoanalitycznej, przeciwstawiają zarzut, że jest to polityka „indywidualistyczna", a więc nie dająca się użyć w walce o społeczne cele świata pracy. Zarzut — jakże bałamutny! Metoda, z której pomocą poznajemy fakty, jest niewątpliwie, „indywidualistyczna". Ale fakty, które dzięki niej poznajemy, a przede wszystkim fakt zbiorowego ucisku, w jakim poniewiera się i wyrodnieje życie płciowe, czyż nie jest doświadczeniem powszechnym, losem wszystkch członków społeczeństwa? Męka, pod którą uginają się miliony istot ludzkich wskutek konfliktów i powikłań seksualnorodzinnych, czyż nie jest męką zbiorową?

Walka z gruźlicą jest także walką indywidualistyczną, gdyż badanie choroby odbvwa się na oddzielnych osobnikach. Mimo to, nie jest-że ona zarazem wielką sprawą społeczną?

Obóz postępu ciężko błądził dotychczas, rozważając zagadnienia życia płciowego, jako zagadnienia prywatne. A przecież przed błędem tym ostrzec go była powinna tradycyjna postawa wszelkich odmian reakcji, która nigdy spraw erotyki nie pozostawiała prywatnemu uznaniu jednostki.

Obóz sfer zachowawczych toczył się i toczy się dotychczas dwoma torami: torem polityki gospodarczej i torem odnowy („sanacji") moralnej. Polityka postępu kroczyła jednym tylko torem. Czyż nie ta właśnie jednotorowość stała się główną przvczyną jej niepowodzeń? Ilekroć chodziło o mobilizację świata pracy, zawsze do jego szeregów apelowano w imię walki z głodem i chłodem, z bezdomnością i biedą, a więc wyłącznie w imię wymogów ekonomicznych. Sprawę społeczną przeciwstawiano sprawie seksualnej, jak gdyby ta ostatnia nie była właśnie częścią społecznego frontu zagadnień. A tymczasem w interesie walki, którą świat pracy toczy o swój byt, leży jak najściślejsze zjednoczenie pobudek, mogących dać jednolitość działania. Interes walki tej domaga się, aby motywy niedoli seksualnej były taką samą dźwignią pochodu i działania mas, jak motywy niedoli gospodarczej.

Innymi słowy: jeśli chcemy w szerokich zastępach ludności pokonać obojętność polityczną, jeśli chcemy rozruszać śpiące morze bezwładu, zalegające u podstaw reakcji i obskurantyzmu, u podstaw niewoli społecznej i duchowej, musimy upolitycznić zagadnienie seksualne; musimy kulisy życia osobistego przekształcić w otwartą trybunę.

Wiktor Zieliński.

Najnowsze książki

DZIEJE NUDY

Rezultatem podróży Uniłowskiego do Brazylii są dwie książki, z których pierwsza („Żyto w dżungli") obejmuje jego wrażenia z włóczęgi po puszczy brazylijskiej, a druga, niedawno wydany „Pamiętnik morski" [1]) jest interesująco napisaną historią długiej i nudnej podróży małym statkiem towarowym przez Atlantyk.

Centralną postacią ostatniej książki Uniłowskiego jest jego przymusowy towarzysz podróży i współmieszkaniec ciasnej kabiny — niejaki pan De. Ten przeciętny i raczej sympatyczny jegomość staje się w oczach autora osobnikiem znienawidzonym, dokuczliwym, ba! — demonicznym w swojej bezustannej, niczym nie usprawiedliwionej obecności. Ustawiczne przebywanie razem i narzucona przez los, pozbawiona sensu zażyłość pomiędzy ludźmi, których nic ze sobą nie łączy, stwarza jakąś absurdalną atmosferę niesprowokowanych uraz, niechęci i t. zw. „czepiania się". Ten wrogi stosunek do obcego i obojętnego człowieka znika natychmiast w każdym porcie, kiedy przestaje istnieć przymus ciągłego przebywania z sobą, a wspólne spacery i wspólne pijaństwa odbywają się w warunkach umożliwiających rozstanie się w każdej chwili.

Atmosfera, którą wytwarza przymusowe współżycie ludzi nic ze sobą nie mających wspólnego jest, jak się zdaje, zagadnieniem bardzo pasjonującym Uniłowskiego (Lokatorzy w powieści „Wspólny pokój", Grzeszczeszczyn w opowiadaniach brazylijskich „Żyto w dżungli").

„Pamiętnik morski" to błaha książka utalentowanego pisarza. Tak potraktowana stanowi miłą lekturę.

Wszystko co dotyczy konsumcji „wódeczności" i skutków nadużywania alkoholu opisane jest z dużą wiernością i rzetelną znajomością rzeczy.

„KOCHANEK WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY".[2])

Ta powieść więźnia świętokrzyskiego, człowieka, odsiadującego karę piętnastu lat więzienia, ma walory, których trudno było by się po niej spodziewać. Przy wszystkich akcesoriach powieści awanturniczej, przy wszystkich pozorach publicznej spowiedzi (nasuwają się tu analogie z „Życiorysem własnym przestępcy" Urkie Nachalnika) nie ma ani śladu łatwej „sensacyjności", ani śladu taniego moralizatorstwa, ani śladu płaczliwości, która przecież była by zupełnie zrozumiała u człowieka żyjącego i piszącego w straszliwych warunkach, w zatłoczonej celi najcięższego w Polsce więzienia.

Całą powieść zapełniają opisy wypraw przemytniczych na pograniczu polsko-sowieckim. Było by to może nieco monotonne, gdyby nie prześliczny, wzruszająco bliski stosunek Sergiusza Piaseckiego do przyrody i do ludzi — towarzyszy przemytniczych wypraw.

Piasecki nie wyrzeka się swojej przeszłości, nie załamuje nad nią rąk — opisuje ją słowami prostymi i twardymi.

Autor „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" ma do odcierpienia jeszcze cztery lata więzienia. Od szeregu już lat wnosi prośby o darowanie mu pozostałej kary. Jak dotychczas władze sądowe, „nie znajdowały podstaw". Sergiusz Piasecki to pisarz, mający jeszcze wiele do powiedzenia. Trzeba mu umożliwić dalszą pracę.

„LUDZIE NA ZAKRĘCIE" [3])

Bezrobotny i bezdomny inteligent wędruje po mieście z małą córeczką. Jest głodny i pogrążony w beznadziejnej rozpaczy. Gdyby był sam, zapewne dostarczył by tematu kronikom miejskim w czasopismach: „niejaki Kontny, bezrobotny, popełnił samobójstwo... i t. d.". Ma jednak dziecko. Nie może umrzeć, nie może pozbawić córeczki swojej, jakże wątpliwej, opieki. Wstępuje z dzieckiem do kawiarni i zamawia jakieś skromne pożywienie. Nie ma ani grosza w kieszeni — nie będzie mógł uregulować rachunku. Co gorsza, kelner — psycholog domyśla się, że tak właśnie jest. W tej rozpaczliwej sytuacji pojawia się... przypadek i przeprowadziwszy Kontnego przez cały szereg niesamowitych przygód, zaplątawszy go w pojedynkową aferę, wyprowadza go wreszcie do cichej przystani (posada za sto siedemdziesiąt złotych miesięcznie i sielskie spacery z córeczką).

Jak z tego widać — historia jednocześnie i banalna i niebardzo prawdopodobna.

Powieść Balickiego różni się jednak od innych tego rodzaju powieści rzetelnym i prawdziwym talentem autora. Ta właśnie „iskra boża" sprawia, że nawet na tle tak irytującej swoją banalną sensacyjnością fabuły, Balicki umie czytelnika wzruszyć, a nawet, chwilami, porwać. Wzorowe i oszczędne operowanie słowem, ciekawa, niecodzienna konstrukcja, a wreszcie głębokie zrozumienie reakcji psychologicznych stanowią na tle „przedziwnych" przygód Kontnego ów przysłowiowy „kwiatek przy kożuchu".

„BRAJLOWSKIE DZIECI" [4])

Ta niewielka książeczka wydana w swoim czasie nakładem jednego z pism kobiecych, była kilka lat temu debiutem literackim głośnej już obecnie pisarki. Niemal we wszystkich pismach ukazały się wtedy pełne entuzjazmu recenzje. Podkreślano urok i świeżość techniki pisarskiej Boguszewskiej, zachwycano się wzruszająco prostym podejściem do zamkniętego świata niewidomych dzieci. Niedawno ukazało się drugie wydanie „Świata po niewidomemu". Sygnalizujemy je tym, którzy pierwszego (brzydko wydanego i zagubionego w piwnicach redakcyjnych) wydania napróżno szukali w księgarniach.

Bolesław Piach

[1]) Zbigniew Uniłowski: Pamiętnik morski. Wydawnictwo

[2]) Sergiusz Piasecki: Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Wydawnictwo „Rój". Warszawa 1937.

[3]) Stefan Balicki: Ludzie na zakręcie. Wydawnictwo Stefana Dippla. Poznań 1937.

[4]) Helena Boguszewska: Świat po niewidomemu. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Którędy droga do pokoju?

Taki jest tytuł nawej książki Bertranda Russella, która powstała z obawy autora przed prawdopodobieństwem rychłego wybuchu nowej wojny.

Wbrew tytułowi, Russell nie ogranicza się do samego wskazania środków i metod, zapobiegających wojnie. Więcej niż połowę książki poświęca wyjaśnieniu, dlaczego dotąd ludzkość prowadzi wojny i jakie przyczyny pozwalają na utrzymanie społeczeństw w stanie, pozwalającym na niespodziewane lub przewidywane wybuchy zbiorowego obłędu, za jaki normalny, zdrowo myślący człowiek musi uznać wojnę.

Opierając się na cytatach z pism wybitnych wojskowych, marynarzy i lotników, Russell twierdzi, że o ile dojdzie do wojny, to będzie jej towarzyszyło unicestwienie ludności cywilnej większych ośrodków napadniętego kraju przez naloty aeroplanowe, i to już w pierwszych godzinach wojny. Jedyną „obroną" będzie analogiczne zniszczenie stolicy i większych miast nieprzyjaciela.

Względy ekonomiczne, dla których najcześciej prowadzi się wojny, często zawodzą zwycięzców. Tak naprzykład, Anglia, dla której jednym z celów ostatniej wojny było osłabienie przemysłu niemieckiego, rujnowała się poprostu później, pomagając Niemcom w odbudowaniu tegoż przemysłu.

Jakie warunki mogłyby zapewnić stały pokój między państwami? Na to pytanie Russell odpowiada bardzo obszernie, gdyż sprawa, przy obecnym ustroju różnych państw, ich wzajemnych stosunkach jest trudna do rozstrzygnięcia. Ponieważ jedną z najważniejszych przyczyn nienawiści między narodami są względy gospodarcze, Russell zaleca „sprawiedliwość ekonomiczną", opartą na rozbrojeniu gospodarczym, a polegającą głównie na umiędzynarodowieniu cennych surowców. Rozdawcą ich między poszczególne państwa byłoby zwierzchnicze państwo międzynarodowe, posiadające prawodawczą i wykonawczą władzę oraz rozporządzające środkami przymusowymi.

Również umiędzynarodowione powinny być wszystkie punkty globu, ważne pod względem handlowym i strategicznym, takie jak np. obydwa wybrzeża cieśniny Gibraltarskiej, kanały Sueski i Panamski. Musiałoby też nastąpić zupełne zniesienie ceł ochronnych i otwarcie wszystkich portów dla wszelkiego rodzaju towarów.

Przy obecnym nastawieniu ogółu obywateli pacyfista napotyka różne typy zwolenników wojny. Jedni z nich są przekonani, że pokój jest tylko przerwą wypoczynkową między wojnami; inni uważają zasadniczo wojnę za zło, konieczne jednak do osiągnięcia pewnych, pożądanych dla państwa celów; trzeci wreszcie zalecają stosowanie wojennych metod w celu uniknięcia wojny. Oczywiście, że wszystkie te poglądy należy zwalczać w imię pokoju.

Działalność polityczna pacyfisty musi się narazie ograniczyć do współdziałania z partiami najbliższymi wyznawanemu przez niego ideałowi. Każdy pacyfista winien być zwolennikiem upaństwowienia przemysłu wojennego, które stanowi krok naprzód w sprawie pokoju.

Nade wszystko zaś musi unikać wszelkiego rodzaju fanatyzmu, który się staje usprawiedliwieniem nadużyć i okrucieństw, popełnianych jakoby w obronie wyznawanego ideału pokoju.

Ostateczną konkluzję swoich wywodów Russell formułuje w następujący sposób:

„Obowiązki każdego przyjaciela ludzkości, każdego człowieka dbającego o wszelkie formy życia cywilizowanego, każdego patrioty, każdego ojca pragnącego utrzymać przy życiu swoje dzieci, są proste i wyraźne. Należy, mianowicie, powstrzymać się od wszelkiej walki między państwami cywilizowanymi i od wszelkiego dobrowolnego w niej udziału; czynić wszelkie możliwe usiłowania, by nakłonić innych do postąpienia w ten sam sposób; wywrzeć wszelkie możliwe wpływy w celu powściągnięcia swego kraju od wzięcia udziału w wojnie, dążyć w zakresie swojej możności do osiągnięcia podobnego wyniku w innych krajach".

Stanisława Jarocińska-Malinowska

Wydarzenia i dokumenty

ZA DYMNĄ ZASŁONĄ

Któż nie pamięta, jak „Goniec Warszawski" z żarliwością prozelity ułatwiał moralne przenikanie obcych idei do życia polskiego, jak pilnował, żeby wzory faszystowsko - hitlerowskie w nieskażonym kształcie stosowane były na wszechnicach polskich?

I oto naraz, gdy posiew tego zatrutego ziarna był już ukończony przy czynnej pomocy „Gońca" i gdy zapowiada się bujny jego plon, w tym samym brukowcu ukazuje sę naraz płomienne ostrzeżenie pod bardzo wymownym tytułem: „Krecia robota hitlerowców w Polsce. Pomagają im naiwni Polacy. Co na to rząd i społeczeństwo?" (Nr. 173) „Goniec" sygnalizuje tutaj niebezpieczeństwo hitleryzmu w Małopolsce, podboje jego w dziedzinie szkolnictwa i oddziaływanie na umysły drogą prasy i literatury niemieckiej. „Co zaś musi oburzyć — pisze „Goniec" — i to w najwyższym stopniu, to okoliczność, że 40% uczniów szkół niemieckich to dzieci urzędników w państwowej i samorządowej służbie w Polsce. Szkoła staje wyraźnie pod znakiem hitleryzmu, który stawia sobie za zadanie odbudowę niemczyzny w Polsce, w obrębie szkoły robi się zbiórkę na pomoc zimową niemiecką, lekceważąc pomoc zimową w Polsce, a polscy urzędnicy państwowi i samorządowi w bezgranicznej ufności do polskiej tolerancji oddają do takiej szkoły swe dzieci!

Dlaczego polscy urzędnicy państwowi i samorządowi odważają się być wspólnikami tych wszystkich machinacyj niemieckich? Czyżby dlatego, że polska tolerancja ich ośmiela i niejako zachęca, a pełna tupetu bezczelność hitlerowska im imponuje i ich pociąga?".

Któż, jak nie reakcyjna prasa polska, podżegając do walk narodowościowych i anarchizując życie polskie, tworzyła dymną zasłonę, poza którą spokojnie mogła pracować sekcja hitlerowska i ryć dla siebie krecie korytarze na Śląsku, w Małopolsce i na Pomorzu. Jeżeli zaś teraz ci tumultanci „narodowi" chcą się uchronić od powszechnego osmagania drwiną, to powinni bijąc dziś na trwogę, bić się jednocześnie w piersi i odwołać wszystko, co poczynili ostatnio na pożytek hitleryzmu w Polsce.

ROZGŁOŚNIE WOLNOŚCI

Osławione hitlerowskie „Gestapo" ma od kilku miesięcy nielada robotę węszenia i ścigania na falach eteru groźnych słów prawdy, rozgłaszanych przez tajemniczą radiostację „Wolność", o której wspominaliśmy w poprzednim numerze „Epoki". Obecnie taka sama rozgłośnia powstała we Włoszech p. n. „Radio Milano", która z kolei postawiła na nogi całą policję faszystowską.

Dwie tyranie, sprzymierzone politycznie i militarnie, porozumiały się także i tutaj co do środków i sposobów walki z powietrznymi prądami wolności, które zakpiły sobie z czarnych gabinetów i wszystkich posterunków przemocy i ciemięstwa. Uruchomiono więc naraz w Niemczech dwie rozgłośnie policyjne, we Włoszech zaś jedną tymczasowo, a zadaniem ich ma być nieprzerwane zakłócanie odbiorów z radiostacji Wolności. Obraz tych walk w eterze podaje „Nationalzeitung", wychodząca w Bazylei:

„Niemiecka „Rozgłośnia Wolności" na fali 29,8 i włoska „Radio Milano" na fali 28 m. były ostatnio tak silnie zagłuszane, że słuchacze mogli usłyszeć zaledwie perwsze słowa audycji. Ale przed paru dniami stacja niemiecka, a za nią włoska znalazły sposób uniknięcia hałasu przeciwnika, drogą zmiany fali. Ponieważ stacje przeszkadzające ze względów technicznych dopiero po pewnym czasie mogą pójść w ślady stacji nielegalnych, przeto słuchacz, który obracając gałkę aparatu nie traci śladu stacji ściganej i słyszy jej głos bez przerwy, staje się równocześnie świadkiem polowania w eterze. Polowanie to ma przebieg prawdziwie dramatyczny i trzyma słuchacza w nieustannym napięciu: pościg utrudniony jest przeszkodami naturalnymi (obecność stacji obcych, a więc swego rodzaju neutralnych enklaw) oraz wysiłkami stacji nielegalnych, które starają się zmylić ślady, nadając równocześnie na dwóch różnych falach. Wrażenie spotęgowane jest spokojnym brzmieniem głosu speakera stacji nielegalnej i hałasem ścigającego prześladowcy.

Po raz pierwszy można było zaobserwować nową taktykę w ubiegłą niedzielę. O godz. 10 wiecz. schwytaliśmy zapowiedź „Rozgłośni Wolności" na fali 29,8 m. Natychmiast pojawił się przeszkadzający wróg. Po tym stacja zamilkła. Kto jednak pokręcił nieco gałką aparatu, znalazł „Stację Wolności", nadającą bez przeszkód na fali 31 m. Prześladowcy, wskutek własnego hałasu, nie dostrzegli w ogóle ucieczki prześladowanego.

Jednakże po pewnym czasie otrzymali widocznie informację od obserwatorów, gdyż znowu podjęli pościg. „Radiostacja Wolności" ostrzegła swych słuchaczów przed niebezpieczeństwem: „Baczność! Jeśli będziemy zmuszeni wskutek przeszkód zmienić falę — prosimy słuchaczów o pójście w nasze ślady". W niedzielę stacja nadawcza przeszkadzająca już od 10 rano nastawiona była na falę 31 m., na którą RW przerzuciła się poprzedniego dnia. O 10 RW zaczęła nadawać na fali 28,9, ale wnet rozpoczął się pościg, który przez trzy kwadranse emocjonował słuchaczy: z 30,8 na 30,5, po tym znów 30,8, wreszcie na 30,1.

Gdy już RW skończyła nadawać, wciąż jeszcze na fali 30,8 hałasowała stacja „Gestapo". O 11 rozpoczęło nadawanie bez przeszkód Radio Milano, odrazu na fali 29,7, zamast na 28,9. Wkrótce pojawił się jednak niemiecki prześladowca. Ale i włoscy antyfaszyści znają trick z nadawaniem na dwóch falach: niezwłocznie zaczynają mówić na fali 28,6 i nadają bez przeszkód. Włosi posiadają tylko jedną stację przeszkadzającą, Niemcy dwie, lecz tylko jedna pomaga w przeszkadzaniu Radio Milano, które jest znacznie silniejsze od niemieckiej „Freiheitssender".

WYRAZ WSTRĘTU MORALNEGO

Uraz piekącego wstydu, wywołany pogromem brzeskim, nie prędko ustąpi z serca myślącego, zdrowego moralnie i patriotycznego ogółu. Demokracja polska odruchowo potępiła to nikczemne dzieło, niegodne nas jako narodu cywilizowanego, ale niestety ten głos człowieczeństwa nie rozległ się w Polsce powszechnie. Nawet dziś jeszcze świadomość grozy tych praktyk „narodowych" oraz szkód moralnych, wyrządzonych imieniu polskiemu, nie jest bynajmniej dostateczna. Tymbardziej zastanawia głos, rozlegający się dziś ze środowiska konserwatywnego, które częściowo w tej sprawie odgrodziło się od endectwa. Jest to refleks ponurych dni brzeskich i wyraz moralnego wstrętu, który się budzi w każdym człowieku na widok bądź nędznej małoduszności i hypokryzji, bądź prostactwa i brutalizmu pewnego odłamu naszej prasy. W Nr. 127 czasopisma p. n. „Polityka", wychodzącego dawniej jako „Bunt Młodych", p. Aleksander Bocheński wydaje w tym przedmiocie sąd surowy i słuszny. Jednak coś tu jest nie w porządku; bo jakże można pogodzić stanowisko p. Al. Bocheńskiego, wyrażone w „Polityce", ze stanowiskiem tego samego p. Al. Bocheńskiego, pracującego w „Słowie" wileńskim, w piśmie filo-hitlerowskim, carofilskim i fila-endeckim, a także pogromowo antysemickim. Jakże więc można w „Polityce" piętnować „niegodne stanowisko" endecji, a jednocześnie piórem wspierać „Słowo", nawołujące do ścisłego z nią sojuszu. Chyba, że jest dwóch p. Al. Bocheńskich. Tymczasem jednak głos oddajemy pierwszemu:

„Mam wrażenie, że prasa nie zgadzająca się, delikatnie mówiąc, z pogromami, to jest prasa polska, która w swoim własnym pojęciu potępia je czy potępiać powinna, dziwnie słabo zareagowała na pogrom brzeski. Pomińmy milczeniem prasę endecką jak Dziennik Narodowy czy ABC. Niegodne stanowisko pierwszego, haniebne dowcipy drugiego, przeszły wprawdzie wszystko co można było nawet z tej strony oczekiwać ale ostatecznie, istnienie u nas prasy wyrażającej tolerancję lub radość wobec barbarzyńskich pogromów, jest faktem do którego mieliśmy czas się przyzwyczaić, choć na który nie możemy się nigdy zgodzić.

Prasa nie endecka, ale sanacyjno-endecka, lub flirtująca z endecją dały nam szkaradny widok kompromisowości posuniętej tak daleko, że aż przekreślającej najbardziej podstawowe zasady etyki i porządku. Co mnie dziwi jednak najbardziej, to głosy przeciwne pogromom, które zawsze wypowiadają się w ten sposób: najpierw zbierają z wielkim nakładem czasu i miejsca wszystkie argumenty antysemickie, mogące zachęcić do pogromów. Potem, jedną dziesiątą część miejsca jakie poświęcili niebezpieczeństwu żydowskiemu, poświęcają sprawom pogromów, zapewniając, że są przeciwne załatwieniu tych spraw drogami gwałtu.

Polowanie na popularność sprawi, że historyk naszych czasów będzie miał przed sobą trudną do rozwiązania zagadkę: jednomyślny odruch potępienia żydów, zamiast jednomyślnego odruchu potępiającego pogromy. A jednak nie mogę się oprzeć przekonaniu, że pod tą skorupą pism, które dla względów taktycznych, dla nadziei czy obawy, że endecy dojdą do władzy, dają nam zakłamany obraz swoich przekonań, kryje się u ogromnej większości Polaków zdecydowane potępienie dla pogromów, bez względu na takie czy inne zapatrywanie na problem żydowski w Polsce".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adolf Rudnicki: Nie kochana. T-wo Wydawn. „Rój", Warszawa 1937.

Edmund Ginalski: Na froncie i na tyłach. Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy. Warszawa 1936.

Janina Anna Łubieńska: Macocha. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień" Warszawa 1937.

Storm Jameson: Tryumf czasu. Powsz. Sp. Wyd. „Płomień", Warszawa 1937.

Raymond Recouby: Franciszek Józef. Zmierzch cesarstwa. Pow. Sp. Wyd. „Płomień". Warszawa 1937.

Henryk Świątkowski: Wyznania religijne w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem ich stanu prawnego. Część I Wyznania i związki religijne. Wstępem zaopatrzył prof. Henryk Ułaszyn. Warszawa 1937. Skł Gł. Wydawnictwo „Biblioteka Prawnicza", ul. Hoża 27.

Józef Piłsudski: Pisma zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem nie ogłoszonych. Tom III. Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej histori Polski.

Franciszek Linhart: Leonard Ragaz. Prorok naszych czasów. Przełożył ks. dr. Emil Jelinek. Warszawa 1937. Odbitka z „Jednoty".

Ryszard Aldington: Kobiety muszą pracować. Powieść. Przekład *Haliny Gądek.* Warszaawa 1937. Instytut Wydawniczy „Lektura".

Polacy o Żydach. Zbiór artykułów z przedruku. Warszawa 1937. Wydawnictwo „Polskiej Unii Zgody Narodów". Skł. Gł. w „Naszej Księgarni" Z. N. Pol.

Józef Morton: Spowiedź. Pamiętnik syna chłopskiego. Warszawa 1937. T-wo Wydawnicze „Rój".

Dr. Zdzisław Mierzyński: Wybrane Żywoty Książąt Kościoła Polskiego w okresie rozbiorowym". Kraków 1937. Nakładem autora. Odbito w drukarni „Renaissance".

Marian Kubicki: Pieśni bose. Warszawa 1937. Nakładem Biblioteki „Ugorów".

Dr. Stanisław Piotrowski: Jeden jest Bóg i prawda jest jedna. Odbitka z „Wici". Warszawa 1937.

Julian S. Huxley i A. C. Haddon: My Europejczycy. Przegląd zagadnień „rasowych". Słowo wstępne prof. Ludwika Krzywickiego. Nowa Biblioteka Społeczna. Warszawa 1937.

Światopełk Karpiński: Kredą na parkanie. Nakła d Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937.

Stanisław Wasylewski: Niezapisany stan służby. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Mieczysława Łuczyńska: Młoty nad kowadłem. Wydawnictwo Współczesne. Warszawa 1937.

Prof. Eugeniusz Torlé: Napoleon u szczytu chwały. Wydawnictwo Współczesne. Warszawa 1937.

Wanda Karczewska: Ludzie z pod żagli. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska". Warszawa 1937.

Halina Górska: Ślepe tory. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1937.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na III-ci kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3888 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.